
EX LIBRIS W.W.



Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 106 (Rok VII, Nr 1) Styczeń, 1947 Cena (Price) 2/-

KRWAWE "WYBORY"

PO OKRESIE napięcia w stosunkach między zwycięskimi mocarstwami Stary Rok zakończył się akcentem pokojowym. Nowy Rok zaczynał się pod znakiem "appeasementu" i nadziei na gruntowniejsze załatwienie różnych spornych spraw, które dzielą Sowiety i świat anglosaski.

Nie wydaje nam się, aby nadzieje te były uzasadnione. Łatwiej było uzgodnić teksty traktatów z państwami, które znajdują się faktycznie pod władztwem sowieckim, aniżeli załatwić problem Niemiec, czy zagadnienia Bliskiego i Dalekiego Wschodu.

Narody Europy Środkowo-Wschodniej, ciężko doświadczone zwycięstwem, patrzą w Nowy Rok z najgłębszą troską.

Zgoda wielkich mocarstw umacnia ten układ sił, który oddał nas wszystkich pod komendę wschodniego sąsiada bez możności urządzenia życia państwowo-narodowego wedle własnej woli. Odraczanie zaś konfliktów, które narastają między Sowietami a Anglosasami w punktach, gdzie krzyżują się bezpośrednie interesy wielkich mocarstw, przedłuża stan niewoli, w jaką Polska i jej mniejsi sąsiedzi zostali wepchnięci układami w Jałcie i Poczdamie. W wyniku ostatniej wojny jedność Europy została strzaskana. Nowa, względna, równowaga w Europie została zbudowana na podziale wpływów między Wschodem i Zachodem z tym, że granica wschodnia świata zachodniego biegnie dziś nie wzdłuż naszej granicy ryskiej, ale środkiem Europy po linii Lubeka-Triest.

W artykułach Churchilla, zamieszczonych na pożegnanie Starego Roku na łamach *Daily Telegraph*'u, w których autor porusza swój ulubiony temat Stanów Zjednoczonych Europy, wyraźnie przebija liczenie się z faktem podziału Europy, który zresztą został dokonany jeszcze gdy Churchill był u steru. Mówiąc o narzucającej się konieczności zjednoczenia Europy Churchill dodaje, że nie od razu każdy będzie mógł czy chciał wejść do wspólnoty europejskiej. Trzeba naprzód zrobić początek, a potem stopniowo z tej komórki zachodniej posuwać się na wschód.

W takich wysoce niesprzyjających warunkach, kiedy Europa Środkowo-Wschodnia została przydzielona na targowisku międzynarodowym Sowietom w nadziei — zresztą złudnej — utrzymania podziału świata na sfery wpływów w ciągu dłuższego czasu, odgrywa się w Polsce ostatni akt złowrogiej polityki, zapoczątkowanej utworzeniem t.zw. Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej pod auspicjami trzech wielkich mocarstw.

Byliśmy od dawna bezwzględnymi przeciwnikami ugody, która nas pozbawiała niezależności. Stronnictwo Narodowe stoi na stanowisku ułożenia poprawnych stosunków Polski z sąsiadami, ale nie kosztem jej własnej niepodległości. Dąży ono do porozumienia z nimi, a nie samobójczego oddania się w niewolę.

Zmiana rządu przed dwoma laty uchroniła nas od nałożenia obroży na szyję za zgodą legalnych władz Rzeczypospolitej, ale nie potrafiła zapobiec wydaniu naszego kraju na łaskę Sowietów przy udziale polskich partii politycznych i ich przywódców.

Zaczęło się łudzenie Polaków wyborami, które miały dać wyraz nieskrępowanej woli narodu naszego. Od pierwszej chwili twierdziliśmy, że w systemie sowieckim nie da się zmienić układu sił politycznych za pomocą kartki wyborczej, że wybory w ustroju komunistycznym są komedią, a w naszym kraju staną się tragi-komedią. Zamiast biologicznego ratowania żywych sił narodu uprawia się dziś niszczenie najbardziej patriotycznych żywiołów polskich, każe się ludziom ginąć w beznadziejnej walce wyborczej, której wynik jest już z góry przesądzony. Reżim Bieruta po doświadczeniach wyborczych w bratnich krajach słowiańskich zastosował najnowsze wzory, najbardziej udoskonalone metody "demokratycznego" fałszowania woli obywateli.

Stwarzanie fikcyjnych ugrupowań a niedopuszczanie do udziału w życiu politycznym niewygodnych ze względu na swą siłę stronnictw politycznych, masowe aresztowania i torturowanie niezależnych działaczy, mordy dokonywane przez Bezpiekę, zupełne stłumienie nie-reżimowej prasy, unieważnienia list wyborczych uczestniczącego w rządzie P.S.L.-u, terroryzowanie kandydatów i mężów zaufania, pozbawienie setek tysięcy wyborców prawa głosu, odpowiednio dobrany skład komisji wyborczych i niedopuszczenie przedstawicieli P.S.L.-u do tych komisji — oto krótki rejestr nadużyć i gwałtów, które zamieniają nadchodzące wybory w ponurą parodię.

W opisanych przez nas warunkach należało raczej od wyborów się powstrzymać. W ten sposób zdemaskowałoby się wobec świata haniebne widowisko, jakie ma mieć miejsce w Polsce w dniu 19 stycznia. Decyzja komitetu wykonawczego P.S.L.-u poszła w innym kierunku. Ludowcy postanowili wziąć udział w wyborach, a zbojkotować tylko te okręgi, gdzie ich listy zostały unieważnione. Fakt udziału P.S.L. w głosowaniu, kiedy zostały pogwałcone wszystkie zasady jako tako swobodnej gry sił politycznych, stanowić może dodatkowy argument dla reżimu komunistycznego w Polsce, że okres tymczasowości się kończy i nadszedł czas wyłonienia nowego, "normalnego", rządu w oparciu o sfałszowany sejm.

Składanie not przez Stany Zjednoczone, w których się stwierdza, że w grze jest "świętość układów międzynarodowych — zasada, od której zależy ustanowienie i utrzymanie pokoju" — nie pomoże, jeżeli się nie wyciągnie wszystkich konsekwencji z cynicznego złamania umów przez tych, którzy je zawarli. Wybory w Polsce są jaskrawym przykładem pogwałcenia zasad, które zostały ustalone zgodnie przez sygnatariuszy Jałty i Poczdamu. Pogodzenie się z metodami, zastosowanymi w czasie wyborów w Polsce przez reżim Bieruta, byłoby jaskrawym przykładem podeptania "świętości układów międzynarodowych," a uznanie nowego rządu w Polsce, który powstanie w wyniku obecnych "wyborów", stanowiłoby zachętę do dalszego łamania układów międzynarodowych.

Jedynie skutecznym sposobem przeciwstawienia się gwałtom, jakie się dzieją w Polsce, jest cofnięcie uznania siłą narzuconego reżimu Bieruta i nieuznanie wyborów i tego stanu rzeczy, który zapanuje po ich dokonaniu. Inne rozwiązania są piłatowym umywaniem rąk i poza retorycznymi stwierdzeniami niczego nie zmienią. Naród polski ma prawo przynajmniej domagać się, aby wielkie mocarstwa szanowały podpisane przez siebie układy i pilnowały ich wykonania.

MICHAŁ STACHNIK

CZARNY KOT ACHMATOWEJ

Niektóre dowody przestępstw pisarzy sowieckich

W "SPONTANICZNEJ CZYSTCE," jaka występuje obecnie w sowieckim świecie pisarskim, wymieniono tyle nazwisk i przytoczono tyle dowodów "przestępstw," że sowieckie sfery kierownicze mają prawo twierdzić, iż świat pisarski jest przeciwko nim. Dowody "przestępstw," które są nam dostępne tylko z tych czasopism, jakie znalazły się za granicą (a znalazło się ich stosunkowo niewiele), są już b rdzo liczne. Trzeba wybierać, bo nie spo ób mówić o wszystkich. Wybór jednak jest bardzo trudny, bo — z naszego punktu widzenia — w tej znacznej ilości utworów literackich i krytyk są dobre i złe, ale jest rzeczą niepojętą, jak je w ogóle można oceniać według kryterium szkodliwości — użyteczności społecznej i państwowej i t.p., jak można dać literaturze nakaz: macie iść tylko w tym a nie w innym kierunku, maszerować w nogę z nowym pięcioletnim planem. A to nie jest dowcip. Naprawdę kierownictwo państwa sowieckiego żąda, aby literatura służyła, między innymi, realizacji nowej "pięciolatki". Natomiast można na pewno powiedzieć, że te utwory, które są zalecane przez sowieckie sfery kierownicze jako wzór literatury sowieckiej, są jaskrawym przykładem beztalencia z punktu widzenia sztuki, są po prostu piłą propagandową. Na przykład taką próbą beztalencia i taką piłą propagandową jest utwór "Współwędrowcy", pióra Wiery Panowej, drukowany w moskiewskim czasopiśmie *Sztandar*. Słowem, są one dowodem tego, że sztuka przestaje być sztuką, gdy podporządkowuje się ją propagandzie — wbrew intencjom twórcy — i odbiera się twórcy swobodę wyboru tematu i ujęcia tego tematu.

Wracam do sprawy dowodów "przestępstw". Żdanow (*Prawda*, nr. 225 z 1946 r.) podał niektóre z nich. Podał rodowód Zoszczenki i Achmatowej: mówił o związku *Sierapionowych Bratiew*, do którego należał kiedyś Zoszczenko, i o związku *Akmeistów*, do którego należała Achmatowa.

Zoszczenko już od dawna miał skłonności do zbrodni, której na imię apartyjność względnie bezpartyjność. Już 25 lat temu pozwalał on sobie na takie stwierdzenia: "Daję słowo honoru, że nie wiem dotychczas, powiedzmy ... Guczkow. Do jakiej partii należy Guczkow? A diabli go widzą, do jakiej partii on należy. Wiem o tym, że nie bolszewik, ale czy es-er czy też kadet — nie wiem, i nie chcę wiedzieć" (es-er są to inicjały partii Socjalistów Rewolucjonistów — S.R., słowo kadet pochodzi od K.D., czyli inicjałów partii Konstytucyjnych Demokratów — nasz przypisek). Żdanow oburza się na to powiedzenie Zoszczenki, wykrzykując: "Cóż powiecie, towarzysze, o takiej ideologii?" Zoszczenko był satyrykiem. Satyra jego nie mogła przecież bujać w abstrakcjach jakiegoś wyimaginowanego życia. Jest właściwością satyry, że jej tematy są czerpane z realnego życia, w którym obraca się satyryk. Lecz życie sowieckie jest nietykalne i dlatego Zoszczenko musiał ponieść konsekwencje swego powołania. Bolszewicki samokrytycyzm ma bardzo ograniczone ramy. Nie wiem, co napisał Zoszczenko w swoich "Przygodach małpy", albo "Przed wschodem słońca", ale podobno są to rzeczy oburzające z punktu widzenia ideowości obywatela sowieckiego....

"... Tematyka Achmatowej — mówi Żdanow — jest do gruntu indywidualistyczna. ... Głównymi motywami u niej — to motywy miłosno-erotyczne, przeplatane modlitwami tęsknoty, smutku, śmierci, mistyki, fatalizmu ... Ni to zakonnica, ni to nierządnica, a ściślej — i nierządnica i zakonnica, u której nierząd jest pomieszany z modlitwą ..."

Żdanow cytuje następującą strofkę poezji Achmatowej, która ma świadczyć o bezdrożach, na jakich znalazła się poetka: "Lecz przysięgam ci na sąd aniołów, na cudowną ikonę, na czad naszych płomiennych nocy ..." (wiersz p.t. "Anno Domini"). Mówiąc o innym znów wierszu Achmatowej, oburza się Żdanow: "... W tym wierszu pisze ona o swojej samotności, którą jest zmuszona dzielić z czarnym kotem. Patrzy na nią czarny kot, jakby źrenica stulecia. Temat nie nowy. O czarnym kocie pisała Achmatowa już w 1909 r. ..."

Rzeczywiście — z tym czarnym kotem — to oburzające ... Ale, *à propos*, jeśli Achmatowa pisała już w 1909 r. o czarnym kocie, czy rzeczywiście — ze względu na wiek poetki — są słuszne poprzednie zarzuty Żdanowa? Czy nie ma jakiegoś nieporozumienia?

Wielką niewłaściwość popełnił leningradzki poeta Chazin. Napisał on parodię Eugeniusza Oniegina, poematu Puszkina. Eugeniusz Oniegin był, jak wiadomo, wytwornym młodzieńcem z początków ubiegłego stulecia, obytym z kulturą Zachodu: mówił biegle po francusku, dyskutował Adama Smitha, lekko tańczył mazura, kłaniał się bez przymusu, ubierał się jak angielski dandy... Miał on opinię człowieka mądrego i miłego. Otóż, tego Eugeniusza Oniegina Chazin sprowadza — w swojej parodii — na grunt współczesnego Leningradu. W jednej ze strofek parodii Chazina (która ma tytuł *Powrót Oniegina*) jest mowa o przygodzie Oniegina w tramwaju leningradzkim (cytowane przez Żdanowa): "Nasz Eugeniusz siada do tramwaju, o biedny, miły człowiek. Nie znał jego nieoświecony wiek tego rodzaju przesunięć. Los chronił Eugeniusza, odgnieciono mu tylko nogę i tylko raz, uderzywszy go w żołądek, powiedziano mu: idiota. Przypomniawszy sobie dawne zwyczaje, postanowił on zakończyć zatarg pojedynkiem. Sięgnął do kieszeni, lecz ktoś już dawno zwędził mu rękawiczki. Nie posiadając więc takowych, zamilkł Oniegin i przycichł". (Rękawiczki były potrzebne Onieginowi do wyzwania na pojedynek, do rzucenia wyzywanemu, jak to było w dawnym zwyczaju — nasz przyp.). Żdanow oburza się: "Nazywa się ta rzecz "Powrót Oniegina". Mówią, że nierzadko jest produkowana na deskach sceny leningradzkiej. Niezrozumiałe, dlaczego leningradzianie dopuszczają do tego, by Leningrad był szelmowany (zapewne od słowa "szelma" — nasz przyp.) z publicznej trybuny, jak to robi Chazin? Przecież sens tej t.zw. literackiej "parodii" polega nie na pustej sypkości słów z powodu przygód, jakie wydarzyły się Onieginowi, który zjawił się we współczesnym Leningradzie. Sens paszkwilu, napisanego przez Chazina, polega na tym, że stara się on porównać nasz współczesny Leningrad z Petersburgiem z epoki Puszkina i stara się dowieść, że nasz wiek jest gorszy od wieku Oniegina ..."

Niezmiernie interesująca jest afera, która się wydarzyła redaktorowi czasopisma literackiego w Moskwie *Październik* — F. Panafierowi. W numerze 5 (1946) tego czasopisma F. Panafierow zamieścił artykuł p.t. "O skorupach i skorupkach". Artykuł ten był powodem, dla którego F. Panafierow trafił na czarną listę. Oto dowody tego przestępstwa.

Artykuł zaczyna się od alegorii. Leśnicy nie mało dołożyli starań, aby odgadnąć, dlaczego usychają od wierzchołków drzewa dębowe. Poszukiwali robaków i grzyba, ale nie znaleźli. Znalazł się jednak dociekliwy leśnik, który stwierdził, że przyczyna tego schnięcia polega na istnieniu skorupy, która tworzy się pod korzeniami dębów wskutek nanoszenia mułu przez deszczowe potoki. Wspomniana skorupa oddziela korzenie dębów od odżywczej gleby i dlatego dęby schną.

"... Wydaje mi się — mówi Panafierow — że coś podobnego również niekiedy zachodzi i u nas — w świecie literackim, jak w ogóle w świecie sztuki", — mówi on, że rozwijał się zielony i cienisty las, to jest żyli, tworzyli i wzbogacali swoimi pracami życie sowieckie sowieccy literaci i artyści, i oto: "... pomiędzy pisarzem, aktorem, artystą a społeczeństwem, życiem i partią tworzy się skorupa". Ludzie twórczy, pozbawieni właściwej atmosfery, usychają, brak im oddechu. Słowem F. Panafierow robi niedwuznaczny zarzut systemowi, że niszczy możliwości rozwoju literatury i sztuki.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Odwaga F. Panafierowa idzie jeszcze dalej i jednym zamachem stara się on wyjaśnić również inne problemy. Mianowicie robi wyraźne aluzje, że ani on ani inni nie rozumieją, dlaczego właściwie Rosja zwyciężyła w ostatniej wojnie. Te wątpliwości doprowadzają oczywiście do pasji sowieckie czynniki decydujące. Jakto, Panafierow nie rozumie tego,

dlaczego wojska sowieckie z początku cofały się przed Niemcami, sądzi, że w tym okresie Rosja była na krawędzi klęski, a następnie nie rozumie, dlaczego zbliżająca się klęska zamieniła się w zwycięstwo. *Prawda* (nr.149 z 1946 r.) surowo przypomina Panafierowowi stalinowską interpretację tego niezrozumiałego dla Panafierowa przełomu: "W pierwszych miesiącach wojny, wobec nieoczekiwanego i nagłego napadu niemiecko-faszystowskiego, Armia Czerwona była zmuszona ustępować i oddać część swego terytorium. Lecz, ustępując, osłabiała ona siły wroga i zadawała mu ciężkie ciosy. Ani bojownicy Czerwonej Armii, ani też narody naszego kraju nie mieli wątpliwości, że ten odwrót jest odwrotem czasowym, że wróg zostanie zatrzymany i rozbity". Nie było więc co do tego żadnych wątpliwości, jak to wynika ze słów Stalina, a Panafierow ośmiela się teraz mieć niewczesne wątpliwości.

Na tym nie wyczerpuje się odwaga Panafierowa. Ironizuje on płytkość i standartowość sowieckiej propagandy, mówiąc: "... O wrogu trzeba pisać następująco: to Fryc, pusty, tchórzliwy, o sztuce wojennej nie ma on żadnego pojęcia, nigdy niczego nie przeżywał (nawet zabroniono mu blednąć, a kochać tym bardziej...)". Panafierow radzi "odgadnąć siłę wroga, jego psychologię, dlaczego za faszystami, chociaż czasowo, poszły jednak miliony..."

Sowieckie sfery kierownicze dają następującą odprawę Panafierowowi na te jego ostatnio wymienione uwagi:

"... Jakaż jest według jego zdania ta 'psychologia', jeśli występuje przeciwko temu, że niemieccy faszyści są bezduszni, próżni, tchórzliwi, jeśli chce, aby pisarz ukazywał ich przeżycia duchowe, ich miłość? Nie jest właściwe, by pisarz sowiecki F. Panafierow ironizował, że niemieckich faszystów, tych wyrodków ludzkości, ludzi z moralnością zwierząt, uważają za bezdusznych. Faszyści są bardziej krwiożerczy niż zwierzęta — pisał Gorkij — ale bardziej tchórzliwi..."

I dalej, werdykt na Panafierowa zawiera następujące stwierdzenia:

"...Myśli on, że twórczość pisarska jest sama dla siebie. Ale jeśli pisarz widzi i przedstawia tylko poszczególne, indywidualne zjawiska życia, nie rozumie on praw rozwoju społeczeństwa.... Partia wzywa ludzi pracy twórczej nie do powierzchownej znajomości marksizmu-leninizmu, ale do poważnego i głębokiego jego nauczenia się, do jego opanowania...".

Już w poprzednim artykule przytoczyłem cytatę z uchwały Związku Sowieckich Pisarzy na temat poglądów Piotra Pancza: "... Ukraiński pisarz Piotr Pancz wystąpił z "teorią' o 'prawie pisarza do błędu'. Ta 'teoria' otwiera drzwi przenikaniu do literatury obcych wpływów. Nie została ona odpowiednio zakwalifikowana przez krytyków literackich." Piotr Pancz miał swoich współwinowajców. Jednym z takich zamaskowanych współwinowajców był Ostap Wisznia z Kijowa, drugim — redakcja gazety *Radziecka Ukraina*.

Ostap Wisznia został potępiony przez pisarzy Kijowa (*Prawda*, nr. 209 z 1946 r.): "Zebranie nie mogło przejść mimo wobec faktu, że pisarz Ostap Wisznia w niektórych swoich felietonach, opublikowanych w ostatnim czasie na łamach gazety *Radziecka Ukraina* i w innych czasopismach, stacza się na niziny bezideowości, wykoślawia sowiecką rzeczywistość, wzbudzając usprawiedliwione oburzenie wśród czytelników". A cóż tak okropnego napisał Ostap Wisznia? Mamy akurat ten numer *Prawdy* (nr. 205 z 1946 r.), w którym, w dekoracji przekleństw, został podany oburzający ustęp z felietonu Ostapa Wiszni. Tytuł felietonu brzmi: "Pozwólcie omylić się". A treść oburzającego ustępu z tego felietonu jest następująca: "Pozwólcie omylić się. Jeśli prowadzimy swoich bohaterów prosto i prosto, tak bardzo prosto, to wychodzi za prosto. A więc ja chcę się omylić. Żeby już wszystko nie wychodziło tak prosto... Więc moi bohaterowie mylą się i ja z nimi...." Za ten niewinny felietonik musiał odpokutować Ostap Wisznia i redakcja gazety *Radziecka Ukraina*. Ostatni ustęp werdyktu z tego powodu na redakcję *Radzieckiej Ukrainy* brzmiał następująco: "Jak widać, w pracach redakcji *Radzieckiej Ukrainy* nie ma dostatecznych wymagań...."

Jaką tu dać syntezę w charakterystyce burzy, która przechodzi przez sowiecki świat pisarski?

Pisarze sowieccy, którzy znaleźli się obecnie w konflikcie z systemem, żyli i pisali w ciągu całej ery bolszewickiej, a co najmniej w ciągu wielu lat tej ery. Napewno nieraz dawali upust indywidualizmowi, pesymizmowi, "bezideowości", tendencjom narodowo-burżuazyjnym, a co najgorsza — "zachodniości". Dlaczego więc dopiero teraz zauważono ich szkodliwość? Nasuwa się następująca odpowiedź.

Społeczeństwo sowieckie jest zmęczone, bardzo zmęczone, pomimo swojej wielkiej wytrzymałości. Trzeba to zrozumieć: społeczeństwo sowieckie żyje w warunkach wojennych od 1917 r. Czara goryczy zaczyna się przepełniać. Nic dziwnego, że pisarz ucieka od rzeczywistości, sięga do tematów oderwanych lub historycznych. A tu nowe, wielkie zadania, ponieważ dopiero teraz świat wchodzi w finalny etap walki o zapanowanie komunizmu. Kierownictwo Związku Sowieckiego potrzebuje więcej niż kiedykolwiek pomocy, poświęceń, ofiarności ze strony społeczeństwa sowieckiego. W tych warunkach tolerowane dawniej, małe odchylenia od linii generalnej nie mogą być nadal tolerowane. Niewinne wczoraj, dziś mogą stać się katalizatorem procesów społecznych, niesprzyjających systemowi, albo nie dość sprzyjających systemowi. W konkluzji więc nie jest to bunt pisarzy sowieckich. W świecie pisarskim mało się zmieniło: powiedziałbym, że pisarze sowieccy dają nawet bardzo mało wyrazu nastrojom społecznym. Zmieniły się warunki ich pracy — nastrój mas z jednej strony, nowe zadania Związku Sowieckiego z drugiej strony.

Najciekawsza w tym wszystkim jest walka z Zachodem. Pomimo żelaznej kurtyny Zachód wciska się do Rosji. Zachód wciska się do Rosji pomimo tego, iż nikt go w Rosji nie propaguje, a potężne państwo zwalcza go. Zachód zdobywa sobie ludzi w Rosji swoją przyrodzoną atrakcyjnością. A właśnie w chwili obecnej Rosja potrzebuje więcej niż kiedykolwiek przeciwstawienia się sowieckich mas społecznych Zachodowi. Obecnie, gdy są rozbudowywane racje konfliktu z Zachodem w imię zapanowania komunizmu w świecie.

MICHAŁ STACHNIK

POMAGAJ

POLAKOM W NIEMCZECH

WIKTOR TROŚCIANKO

LATARNIA MORSKA

Słone są dni — jakże słone!
Słońca pożółkły od dymów:
Gdy w krwistym zmierzchu utoną,
podam zgubionym azymut.

Niełatwo tu żyć — uczepiona
w bezpłodne skały nadziemne.
Słucham: śpiew ziemi w zagonach,
słucham: awarie jesienne.

Czas po dnie morskim płynie
mierzony sygnałem radaru;
jutro mu błyśnie Sardynia,
pojutrze szczyt Gibraltaru.

Jest mocny, podstępny, uparty —
— zawzięcie w życie się wdziera.
Po żyłach błękitnej karty
Przepłynie trawers Tangeru.

Minie. Kolebki szmerem
poskarżą się brzegi rzucone.
Grudniowe przyjdą chimery,
zapłaczą, umilkną — zatoną.

Smugami wygładzam wodę,
palcami przebijam mrok,
cienie przeganiam w ogrodach.
Spóźniony liść spadł — czy rok?

Wybiegam ścieżką ze skały,
zastygłe potrącam kwiaty.
Pieśń jedna uchodzi cało,
rzucona w szary Adriatyk.

Współczuciem ścigam horyzont,
bezludne szczyty ogarniam —
— i gnam granatową bryzą,
straconych nocy latarnia.

Szeroko otwieram źrenice,
krąg cierpień wysrebrzam bluszczem
rzucając w świat błyskawice:
ratujcie — ratujcie — dusze!

WIKTOR TROŚCIANKO

JÓZEF BIEROŃ

REPATRIANT

Od Redakcji : *Kilka miesięcy temu zwróciliśmy się do jednego z naszych czytelników, który przebywał w Niemczech, o napisanie artykułu, obrazującego życie wychodźstwa polskiego. Okazało się jednak, że tymczasem autor wrócił do Polski. Nie zapomniał wszakże o naszej prośbie. Okrężną drogą nadesłał z kraju reportaż z podróży, który drukujemy, pomimo iż opis zdarzeń pochodzi z okresu t. zw. referendum — widoczne jest już bowiem, że te same metody zostaną zastosowane w sposób jeszcze bardziej drastyczny w nadchodzących wyborach do sejmu-konstytuanty. Ponad to uważamy, że reportaż — niezależnie od wyrażonych w nim poglądów — jest cennym dokumentem, odtwarzającym ówczesne nastroje i poglądy człowieka z ulicy w Polsce.*

ODJAZD pociągu oznaczony był na godzinę 7-mą wieczorem. Gdy, ze swymi workami na plecach, parę minut po 4-tej przyszedłem na stację, wszystkie miejsca były już zajęte. Dziesięć wagonów pasażerskich i pięć czy sześć towarowych, zawalonych kuframi, skrzyniami, tobołkami, pościelą obszytą w worki i sienniki, a nie rzadko stołami i łóżkami. Wagony najrozmaitszego pochodzenia: niemieckie, włoskie, amerykańskie, polskie, rumuńskie, wszystkie jednakowo stare i zużyte. W żadnym z okien nie było całej szyby ; dziury załatane kawałkami tektury lub desek.

Podróżni, prawie wyłącznie ludność wiejska, cierpliwie porozkładali się na swym ruchomym dobytku. Czekali tyle lat, mogą poczekać kilka godzin jeszcze ; tym łatwiej, że właśnie nadjechała ciężarówka z ubraną w wojskowe mundury orkiestrą. Muzykanci ustawili się na peronie i fałszywie ale głośno i z przejęciem grali marsze i polki, oberki i zawodzące, ludowe melodie. Orkiestra straży obozowej żegnała odjeżdżających na zawsze i w nieznane.

Na peronie tłum odprowadzających przyjaciół. Trochę śmiechów, więcej westchnień:

— Moja pani, żebym miał do kogo, wróciłbym dawno, wróciłbym na skrzydłach. Pani szczęśliwa, macie listy, macie wracać do kogo. .

— A piszcie zaraz coście tam zastali, może pojedziemy za wami. Tyle ludzie gadają . . .

— Jedźcie, jedźcie, Stalin was przywita . . .

— Ja tam wolę u obcych nawet, ale wolność, tam zamkną was do więzienia . . .

— A właśnie, będziesz miał wolność, każą ci u Niemca pracować, jak w czasie wojny, i też cię zamkną. UNRRA się skończy, zobaczysz! . . .

Właśnie pojawiła się UNRRA. Trzy półciężarowe samochody przesuwały sie zwolna od wagonu do wagonu, rozwożąc kakao, chleb i słodkie bułki smarowane marmoladą dla dzieci. Z wagonów wyciągało się termosy, kubki, manierki.

Opodal gruby dyrektor UNRRY ze swym sztabem kończył ostatnie wykazy. Zapadał zmierzch. Za drutem otaczającym stację grupki Niemców przyglądały się odjazdowi. W oczach ich nie było ani życzliwości, ani niechęci. Nadzieja wyproszenia od swych byłych niewolników paru papierosów zdawała się silniejsza od tamtych uczuć.

Zbliżała się 7-ma. Energiczny Amerykanin, zastępca dyrektora UNRRY, kontrolował wagony.

Einsteigen, einsteigen bitte — wołał po niemiecku. Ktoś ostro zwrócił mu w łamanej angielszczyźnie uwagę, żeby do Polaków mówił po polsku lub po angielsku, bo szwargotu niemieckiego dość już mają . . . Amerykanin zatrzymał się na chwilę, wzruszył ramionami i poszedł dalej, wołając znowu swoje :

— *Einsteigen, einsteigen bitte.*

Ostatnie uściski dłoni. Jacyś zapóźnieni przyjaciele oddawali w pośpiechu paczki, dyktowali adresy, pod którymi miano je doręczyć. Na peronie wśród odprowadzających cisnął się mały chłopiec, przyszedł pożegnać swego nauczyciela, byłego wojennego jeńca. Gdy pociąg ruszył, chłopiec biegł przy wagonie z oczami utkwionymi w otwarte okno.

— Trzymaj się Jacek i pamiętaj nie zrób mi wstydu — pamiętaj — wołał oficer wychylając się przez okno.

Orkiestra wciąż grała marsza.

Pociąg przeszedł kilkadziesiąt metrów i stanął ; zmieniono zwrotnicę i wrócił raz jeszcze na przeciwległy tor. Po chwili rozległy się tony "Jeszcze Polska nie zginęła." W wagonach zrobiło się uroczyście i cicho. Kilku żołnierzy polskich stojących na peronie wyprężyło się na baczność. Pociąg ruszył powoli i dostojnie. Tym razem na dobre.

*

Znalazłem trochę miejsca w przedziale jednego z osobowych wagonów. Drzwi do przedziału zatarasowane tłomokami. Obok na dwóch drewnianych stołkach leżała watowana kołdra, a na kołdrze spał 2-letni Staś. Urodził się w Niemczech. Należy do pokolenia, które wojnę i niewolę niemiecką znać będzie już tylko z opowiadań.

Szybko robiło się ciemno. Koła wagonów monotonnie stukają o szyny.

Ojciec Stasia, muzykant, zawodowy harmonista, grywający na wiejskich weselach i zabawach, został wywieziony z żoną do Niemiec w 1941 roku. Pracowali i chorowali na zmianę, jako że ciężkiej pracy fizycznej w polu niezwyczajni. Stracili wszystko: dom, ogródek, nawet harmonię. Dom spalony, ogród wycięty, harmonia rozbita. Wiosną 1945, przed samym uwolnieniem, żona umarła na zapalenie płuc.

— Pocóż wracacie? — zapytałem.

Oczami pokazał mi Stasia.

W wagonie było duszno. Przecisnąłem się do jednego z okien w głębi korytarza. Przedział naprzeciw okna zawalony gratami pod sufit. Przygnieciony niemal przez worki, skrzynki i stołki, dwoje starych ludzi.

— U nas już żniwa . . . — słyszę urywek rozmowy.

— Żniwa. Żniwa.

Wagon powoli zasypia. Jesteśmy wszyscy zmęczeni podnieceniem i niepokojem. Tyle sprzecznych ze sobą informacji, tyle propagandy. Tyle pozbawionych pokrycia słów. A spragnieni jesteśmy właśnie prawdy.

Obudziło mnie zatrzymanie się pociągu i głośniki, powtarzające w kółko a chrapliwie: "Mleko dla dzieci wydaje się tam, gdzie stoi lokomotywa." Spojrzałem na zegarek, była godzina 2-ga w nocy. Przyjechaliśmy na punkt żywnościowy UNRRA. Wydawano kolację. Wysłani delegaci przynieśli kotły z kawą i zupą. Każdy wagon otrzymał po pudle sucharów. Płacz rozbudzonych dzieci słychać było wzdłuż całego pociągu, który wydłużył się w ciągu nocy i zmienił w węża liczącego ponad 50 wagonów. Po drodze przyłączono widocznie inne transporty.

Głośniki obwieściły po chwili koniec postoju i ciemny pociąg ruszył znowu coraz dalej i dalej na wschód.

Zatrzymaliśmy się ponownie dopiero rano na punkcie przejściowym, w pobliżu granicy zony sowieckiej. I tam znowu UNRRA działała sprawnie. Do każdego wagonu przydzielono samochód ciężarowy. Zajeżdżały szybko i umiejętnie. W ciągu pół godziny pociąg był opróżniony i po dezynfekcji proszkiem DDT znaleźliśmy się w wielkim obozie przejściowym. Każdy wagon otrzymał swoją izbę w baraku. Dzieci do lat 5 wraz z matkami odwieziono oddzielnie do kąpieli i po mleko. Dzieci do lat 12 skierowano do ogródków dziecinnych i na śniadanie. Dorosłym wskazano umywalnie i natryski z gorącą wodą. Równocześnie magazyny wydawały prowiant.

Po przeciwnej stronie szosy znajdował się obóz sowiecki. Z daleka już widać było nad bramą ogromną czerwoną gwiazdę, a wzdłuż drogi, prowadzącej od bramy do wnętrza obozu, szpalerem stały, wielkich rozmiarów, portrety sowieckich marszałków i generałów. Nad wejściem olbrzymi portret Stalina. Obóz był pusty. Zakończył już dawno swą pracę repatriacyjną, ale komisja, składająca się z generała i kilku oficerów, oraz delegacja NKWD wciąż urzędowały. Podobno znaczna ilość byłych jeńców sowieckich odmawiała powrotu do ojczyzny. Podobno wielu z nich przesiąknęło do Francji i Belgii. Podobno toczyły się w tej sprawie jakieś pertraktacje. Tymczasem portrety mokły na deszczu i płowiały w słońcu, robiąc wraz z gwiazdą nad bramą pustego obozu wrażenie jakiegoś opuszczonego, bizantyjskiego cmentarzyska z teatralnej dekoracji.

*

Po południu przyjść miał po nas pociąg z Polski. To znaczy po nas i nie wyłącznie po nas. Ruch odbywał się wahadłowo: z Polski przychodziły transporty wysiedlanych Niemców, które umieszczano w opuszczonych przez nas wagonach, dla nas zaś przeznaczone były wagony po transportach niemieckich. Z wagonami zaś oczekiwać nas miała — polska eskorta. Mówiło się tylko o tym. Polskie wagony, polscy żołnierze . . . Pierwszy bezpośredni powiew wiatru już ze swojej ziemi.

Znowu sprawnie i gładko zajechały samochody. Długi sznur pięćdziesięciu kilku ciężarówek wyglądał jak zmotoryzowany oddział wojska. Izba w baraku miała ten sam numer co samochód, każdy samochód ten sam numer co wagon, do którego mieliśmy się ładować. W ciągu niecałej godziny operacja załadowania półtora tysiąca ludzi i ich dobytku była załatwiona.

Teraz wagony były już tylko towarowe. Znowu najrozmaitszego pochodzenia, wyglądu i wieku. Na każdym w przeróżnych językach Europy powtarzał się ten sam monotonny napis: 40 ludzi, lub 15 ludzi i 10 koni . . .

UNRRA rozwoziła prowianty. Pasażerowie wagonów według listy, spisanej w kilku egzemplarzach, dostawali żywność na 3 dni. Skon-

densowane mleko, puszki z masłem i margaryną, cukier, herbatę, biskwity, konserwy rybne i mięsne, papierosy. W wagonie naszym było 17 osób; zdumiony byłem rozmiarami skrzyni prowiantów.

— Kiedyż my zjemy to wszystko, przecie jutro będziemy już w domu — powiedziałem półgłosem. Ubrana w spodnie i wojskowy sweter funkcjonariuszka UNNR-y, wyliczając papierosy, rzuciła mi ironiczne spojrzenie.

Gdy pociąg ruszył, wszyscy cisnęliśmy się do otwartych drzwi wagonu. Niedługo miała się zacząć strefa graniczna, a za nią zona okupacji sowieckiej. Żelazna kurtyna. Chcieliśmy wszyscy widzieć, jak ta sławna "kurtyna" wygląda. Na razie nie było żadnej różnicy. Jak dotąd wsie niemieckie wyludnione z mężczyzn; jak dotąd popalone i zgruchotane miasta, a na drogach ożywiony ruch samochodów wojskowych. Dopiero po godzinie jazdy zobaczyliśmy stojące w polu, niedaleko toru kolejowego, barwne tablice. Granica zony. Pociąg przystanął na chwilę. Po stronie zachodniej jechał szosą, wolno i majestatycznie, patrolujący czołg. Po stronie wschodniej z bunkra zbudowanego przy torze wychodziło właśnie 3 żołnierzy sowieckich z karabinami maszynowymi na plecach i z nieodłącznymi papierosami w ustach. Podobne bunkry widać było w polu wzdłuż linii znaczonej kolorowymi tablicami. Żelazna kurtyna.

Do tej pory jechaliśmy szybko. Pociąg nasz zatrzymał się od chwili wyjazdu wszystkiego 4 razy. Teraz, gdzieś na bocznym torze pierwszej stacyjki po sowieckiej stronie, staliśmy już dwie godziny. Robił sie zmierzch.

Wyszedłem wraz z innymi z wagonu, aby dowiedzieć się o przyczynę postoju. Parowóz nasz odszedł na zachodnią stronę. Taki jest rozkaz. Gdyby poszedł dalej, mógłby w ogóle nie wrócić . . . Musimy czekać nadejścia "sowieckiej" maszyny.

Na przedzie pociągu, w pierwszym wagonie zobaczyłem stojaki, a na nich ustawione karabiny. Wzdłuż pociągu kręciło się 2 czy 3 żołnierzy, w przedwojennych polskich drelichach. Młodzi chłopcy o zmęczonych twarzach. Brudne i podarte drelichy robiły przygnębiające wrażenie. Nie lepsze wrażenie sprawiały smutne, a może tylko znudzone oczy. Jeden z żołnierzy, otoczony grupą repatriantów, odpowiadał właśnie na natarczywe pytanie: o ceny, o warunki pracy, czy wolno słuchać radia . . . Żolnierz śmiał się; cóż za głupie pytania, przecież jesteśmy u siebie, okupacja niemiecka się skończyła.

Miał na kołnierzu i spodniach wąską wypustkę niebieskiego koloru. Zapytałem, co ten kolor wypustki oznacza. Popatrzył na mnie podejrzliwie, potem z niechęcią powiedział:

— To taka formacja, jak każda inna.

— Ale jaka — napierałem — piechota, artyleria? . . .

Spojrzał jeszcze raz spodełba i jakby z zażenowaniem powiedział przez zęby:

— K.B.W., Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Gdy odszedł, ktoś w tłumie półgosem tłumaczył:

— To widzicie, takie polskie N.K.W.D.

*

Jechaliśmy całą noc i cały następny dzień. Pociąg dłużej stał oczekując parowozów, aniżeli szedł naprzód. Na wszystkich stacjach olbrzymie transporty naładowane jakimiś maszynami, kablami nawiniętymi na ogromne szpule, meblami; widziałem w jednym z nich nawet stare cegły z rozebranego domu. Obok stał wagon, w którym były trzy fortepiany. Jeszcze dalej — kaloryfery wyrwane razem z tynkiem ze ścian. Na wagonach rosyjskie napisy: "Maskwa."

Samochody znikły z dróg niemal zupełnie. Widziało się natomiast rozmaitego kształtu wehikuły konne, z oficerami sowieckimi, niezmiennie z papierosami w ustach.

Na niemieckich stacjach wielkie rosyjskie napisy i cywilni milicjanci z czerwonymi opaskami na ramionach.

Pod wieczór powiedziano nam, w czasie drugiego postoju, że czekamy już na polską lokomotywę i polskich kolejarzy.

Było gorąco. W piwiarni koło dworca Niemka sprzedawała piwo. 30 fenigów za szklankę. Cienkie, kwaśno-gorzkie, wojenne piwo niemieckie. Ale zimne.

Ktoś zawołał, że jest, że przyszła . . . polska lokomotywa. Pobiegliśmy wzdłuż pociągu. Właśnie ją przyczepiano. Jakąś głupią mgłę mam przed oczami. Stary znajomy napis i znak: PKP i orzeł. Zapomniano mu nawet oberwać koronę. Natomiast wzdłuż całego kotła napis inny, nowy, nieznajomy, wielki: "Kolejarze głosują 3 razy tak." Prawda, jutro jest dzień referendum.

Na lokomotywie, obok maszynisty i palacza przyjechał żołnierz. Miał także niebieskie wypustki na kołnierzu i szwach swych spodni. Był wyraźnie podniecony. Coś po cichu rozmawiał ze swymi kolegami, którzy otoczyli go zaraz. Słychać było przekleństwa. Ludzie tłoczyli się przy nich, zaczęli pytać, co się stało?

Ot, zwykła rzecz. Wczoraj w pobliżu granicy, po polskiej stronie, pijany bolszewik uderzył naszego żołnierza, tamten mu oddał, była bójka. Ktoś strzelił i zabił bolszewika. Rano władze sowieckie aresztowały 10 Polaków i 4 spośród nich podobno już rozstrzelano . . .

— Znajome chłopaki, cholera, psia krew . . .

Najgłośniej klął mój wczorajszy rozmówca, wysoki dryblas o ponurych oczach.

Ktoś naiwnie zapytał, czy dużo ich, w tych warunkach, ucieka z wojska do lasu?

Żołnierze popatrzyli po sobie.

— Uciekać, uciekają — zauważył któryś lakonicznie i niechętnie.

Parowóz gwizdnął, rozbiegliśmy sie do wagonów. Było już zupełnie ciemno, gdy zajechaliśmy na pierwszą polską stację.

Nad dworcem łopocze biało-czerwona flaga.

Pomimo wszystko jest jakiś niemy patos w tej chwili powrotu. Serce ściska skurcz: radości, szczęścia? A może żalu i zawodu?

Wieczór jest ciepły i duszny. W pobliskich domach okna z rzadka tylko oświetlone. Domy są przeważnie puste. Na peronie grupa kolejarzy. Pierwsze orientacyjne pytanie: skąd jedziemy, ilu tam jeszcze zostało, czy nie znamy Kowalskiego lub Zielińskiego, czy mamy angielskie papierosy?

Z wagonów zasypuje kolejarzy grad pytań. Odpowiadają chętnie, życzliwie, serdecznie. Ktoś zapytał o jutrzejsze referendum. Kolejarz wzruszył ramionami:

— Z góry przecie wiadomo, jaki będzie wynik; sfałszują od góry do dołu. Tu u nas — mówił dalej — nawet Bezpieka na dwa pierwsze pytania głosować będzie "nie," ale co to pomoże, komuniści i tak nie ustąpią.

— Oni mówią — wtrącił inny —, że lepiej wyniki sfałszować, niż dopuścić reakcję do władzy. Reakcja to niby my wszyscy.

Stacja obwieszona plakatami. Wszystkie wzywają do głosowania "tak." Mimo woli nasuwa się pytanie, w jakim celu robi się tę propagandę, skoro nikt nie nawołuje do głosowania inaczej. Ale oto znajdujemy odpowiedź. Na stacyjnym ustępie wielki plakat z karykaturą Churchilla, ściskającego dziecko w powijakach. Dziecko ma głowę Mikołajczyka i cienkim głosem piszczy: "nie-nie-nie." U góry plakatu wezwanie: "Churchill mówi nie, ty głosuj tak." A więc to Churchill agituje za głosowaniem "nie!". Przypomina się pierwszy niemiecki plakat rozlepiony w Polsce w 1940 roku: "Anglio — twoje dzieło." Nieco dalej na lokomotywie białą farbą przez szablon odbity obrazek, przedstawiajacy skaczącą, wykrzywioną małpę; ona także woła "nie." Jeszcze dalej plakat, na którym osioł z zadartą głową przeciągle ryczy "nie-e-e". Pod osłem 3 literki: P.S.L. Teraz rozumiemy już wszystko.

Nasze zapasy żywności są mocno uszczuplone. Ze strony polskiej oficjalnie nikt się nami do tej pory nie zainteresował. Idę do bufetu. W oszklonych szafkach leży kiełbasa, bułki, jakieś stare ciastka, cukierki i papierosy. Bułka 10 zł. cukierek 15. To nie na naszą kieszeń. Zamawiam szklankę piwa — cena 25 zł. Przed paru godzinami w Niemczech płaciłem 30 fenigów.

Stacja jest duża. Na sąsiednich torach stoją sowieckie wojskowe pociągi. Wagony wyładowane meblami, fortepianami, kaloryferami i cegłą. Wzdłuż wagonów chodzą sowieckie posterunki. Na plecach obowiązkowa "pepesza," w zębach nieodłączny papieros.

Od kolejarzy dowiadujemy się, że jeszcze i tę noc spędzić musimy w wagonie. Na Nisie mosty zerwane i brak parowozów. Kiedy pojedziemy dalej, Pan Bóg wie.

Ludzie naradzają się w wagonach, jak zabezpieczyć drzwi, na wypadek napadu sowieckich żołnierzy. Przyglądali się naszym bagażom z minami nie wróżącymi nic dobrego.

*

Rano budzi nas gwałtowne odsunięcie drzwi z zewnątrz. Do rozespanego wagonu wciska się słońce, wraz z nim uśmiechnięta twarz starego urzędnika celnego. Ma dawny przedwojenny zielony uniform i przedwojenną mundurową czapkę. Oczy mu się śmieją, gdy woła swe stereotypowe: "Dzień dobry państwu! Kontrola celna". Pomimo komizmu sytuacji jest coś rozrzewniającego w tym powitaniu. Coś co przypomina dawne, przedwojenne powroty z zagranicy, i Zachód, i prawo, które nie było wynikiem doktryny, narzuconej narodowi przez garstkę fanatyków wierzących w swe posłannictwo, lecz zrozumiałym dla wszystkich obowiązkiem publicznego ładu.

Ludzie się śmieją i celnik się śmieje. Rozgląda się po wagonie i groźnym tonem karci:

— Czemu tak mało dzieci? Powinno być dużo dzieci, bo my starzy nie jesteśmy już potrzebni, wszyscy starzy to reakcja, to faszyści.

— Ja wiem, że nie macie nic do oclenia — ciągnie urzędnik — i nie o to mi chodzi. Chcę wam dać zaświadczenia, żeście wwieźli to, co mogą wam zabrać najłatwiej: rowery, maszyny do szycia. To zaświadczenie też wam nie wiele pomoże, ale zawsze to lepsze niż nic. Proszę zgłaszać numery i marki.

W wagonie były dwa rowery. Właściciele zabrali się do szukania numerów.

— Gdyby można — dowcipkował urzędnik — wydałbym wam także zaświadczenia na żony, bo je także mogą wam łatwo odebrać. Uważajcie.

Po paru godzinach, koło południa, pociąg wreszcie ruszył w dalszą drogę. Wjechaliśmy we wspaniały, gęsty las.

Pociąg szedł lewym torem. Prawy był rozebrany. Sterczały tylko powywracane podkłady, a i te na niektórych odcinkach także zebrano i wywieziono. Po godzinie jazdy nagły postój w lesie. Żadnej stacji nie widać. Zeskakujemy, żeby wyciągnąć się na miękkim, puszystym mchu. Okazuje się, że parowóz zepsuty, coś w nim pękło i palacz poszedł pieszo zawiadomić kierownika ruchu.

Bagatela, postój zapowiada się na godziny.

Koło mnie na mchu leży maszynista: młody szczupły mężczyzna o inteligentnej twarzy i żywych oczach. Z zaciekawieniem wypytuje

o warunki życia Polaków w Niemczech. Interesuje go przede wszystkim dywizja pancerna. Jak wyglądają żołnierze, czy prawda, że prześladowani są ci, co zamierzają wracać do Kraju. Opowiadam mu o ciężkiej sytuacji w obozach cywilnych, o nastrojach w wojsku, prostuję kłamstwa propagandy o terrorze w stosunku do powracających.

Po chwili milczenia rozmówca mój pyta:

— Właściwie dlaczego ludzie z Niemiec nie wracają wszyscy?

— Jedni boją się represyj, drudzy uważają za swój polityczny obowiązek nie wracać na znak protestu.

— Represyj w stosunku do powracających z Niemiec dotąd nie było — przerywa mi kolejarz.

— Któż zaręczyć może, że nie będzie ich później? — odpowiadam.

— Tak, przyszłości nikt nie zna, ale jakiż będzie los Polaków w Niemczech, jeśli wybuchnie wojna i bolszewicy zajmą całe Niemcy? Czy nie jest bezpieczniej, aby wrócili? Tu trzeba naprawdę tyle jeszcze rąk do pracy. Nie tylko na roli. Ziemie zachodnie wciąż są puste. Niemców w pośpiechu wysiedlono, a repatriacja ze wschodu idzie powoli. W międzyczasie bolszewicy wywieźli i wywożą co się da. U nas w kolejnictwie także ciągle brak ludzi. Chętnych spośród repatriantów przyjmują na posady z miejsca, na stacjach, przez które przechodzą pociągi. Z Polski urzędnicy boją się jechać na zachód, ciągle się mówi, że Rosja ma oddać Śląsk Niemcom.

— Wierzy Pan, że to możliwe? — pytam.

— Osobiście nie wierzę — odpwiada kolejarz. — Komuniści sowieccy bać się będą zawsze, że nawet skomunizowane Niemcy będą dla nich niebezpieczne jako konkurencja. Dlatego nie mogą ich wzmacniać. Ale cóż my tutaj wiemy o polityce, tyle, co sami wyrozumujemy. Ze świata wiadomości nie ma żadnych.

— Jest przecie radio — podsuwam ostrożnie.

— E, panie,— mówi z goryczą — pod okupacją niemiecką z radia wiedzieliśmy wszystko. Nie było Polaka, który by nie czytał tajnych gazetek, wiadomo było wszystko o wojnie, o rządzie polskim w Londynie. Dziś tajnych pism w ogóle nie ma, z radia niczego dowiedzieć się nie można, a o komunistycznych szmatławcach szkoda nawet mówić. "Gazety Ludowej" tu na Śląsku w ogóle dostać nie można. W Katowicach płaci się za nią 10 i 15 złotych. Zresztą i tam cenzura obcina wszystko co ciekawsze.

— Należy Pan do partii? — pytam.

— Tak, do PPS. Taka już u nas tradycja, ojciec moj był w PPS. Brat starszy także. Należę i ja.

— Ale PPS wchodzi do bloku z komunistami. Wasz prezes jest premierem — przerywam.

— Do bloku należą narzucone władze centralne partii. Osóbka nigdy nie byłby prezesem, gdyby pozwolono nam władze wybrać. PPS, jeśli chodzi o doły, o robotnika, jest w opozycji i do rządu i do narzuconych władz własnej partii.

— A PPR — pytam — jak Pan ocenia jej siły?

— W dołach, w uświadomionej masie robotniczej, PPR nie ma żadnego oparcia. Nawet ci, co fomalnie do PPR należą, przy wyborach głosować będą na tych, co się komunistom otwarcie przeciwstawią. Sytuacja robotnika pod rządami PPR jest gorsza niż była kiedykolwiek przed wojną. Brat mój pracuje w hucie na Górnym Śląsku, ma żonę i troje dzieci. Zarabia miesięcznie 3.000 złotych. Jak z tego można żyć? Żona jego handluje. Sprzedaje amerykańskie papierosy, z tego się utrzymują.

— Przecie są rady załogowe, czy nie mogą spowodować poprawy warunków?—przerywam.

— Rady załogowe mają przeważnie mianowanych przez rząd komisarzy komunistów, bo wybrani przez nie przewodniczący, socjaliści rządowi (choć na czele rządu stoi rzekomy socjalista) się nie podobali. W ten sposób robotnik oszukany jest podwójnie: mówią mu, że fabryka do niego należy, bo kieruje nią dyrektor mianowany przez rząd, i przekonywają go, że ma swój samorząd, choć na czele tego samorządu stoi także rządowy funkcjonariusz. W sytuacji robotnika nic się nie zmienia, jeśli zamiast prywatnego kapitalisty zjawia sie kapitalista państwo, oderwane od społeczeństwa, a oparte na swej biurokracji. Przeciwnie, robotnikowi jest gorzej, bo traci prawa, które sobie wywalczyl, z prawem do strajku na czele.

— Jakże więc robotnicy przejawiają swe niezadowolenie? — pytam.

— Strajki wybuchają co pewien czas. W czerwcu były w hutach na Śląsku. Robotnicy domagali się podwyżki wynagrodzenia i poprawienia zupy, którą dostają w południe. Są tak wycieńczeni i głodni, że pracować mogą nie przepisane 8, ale zaledwie 6 godzin na dzień. I cóż? Strajk skończył się po dwóch dniach. Przyjechała Bezpieka. Obstawili hutę. Zabrali przywodców. Wywieźli ich ze sobą. Żaden z nich dotąd nie wrócił. Rząd uznał, że dopuścili się sabotażu, że huta jest gniazdem reakcji i faszyzmu. 90% robotników należy tam do PPS . . .

*

Ktoś przysiadł się z drugiej strony kolejarza. Zjawił się także jeden z żołnierzy eskorty. Rozmowa urwała się.

Wreszcie nadeszła druga lokomotywa, która cofnęła nasz pociąg z powrotem na stację opuszczoną przez nas przed południem. Tam czekała nas prawdziwa niespodzianka. Mieliśmy wziąć udział w głosowaniu ludowym.

Po peronie uwijało się paru oficerów. Jeden z nich miał na sobie pod mundurem koszulę w różowe paski i jaskrawo zielony krawat. Drugi obwieszony był jakimiś medalami na czerwonych i zielonych wstążeczkach. W głębi ustawiła się jazz-bandowa orkiestra, złożona z 4 muzykantów. Któryś z przechodzących kolejarzy zauważył z przekąsem, że składa sie ona z samych miejscowych Niemców, czekających wysiedlenia. Po marszu i foxtrocie jazz-band odegrał "Jeszcze Polska nie zginęła," po czym na środek peronu wyszedł porucznik w różowej koszuli, zdjął furażerkę i zaczął przemówienie.

Trudno było domyślić się, w czyim imieniu przemawia: rządu, partii, czy swoim własnym. O żadnym pełnomocnictwie nie wspomniał, ani się słuchaczom nie przedstawił. Powiedział tylko, że komisja głosowania ludowego obdarzyła nas swym zaufaniem, pozwalając głosować, choć nie jesteśmy jeszcze nigdzie zapisani, ani zweryfikowani jako obywatele polscy, i że on, porucznik, ma nadzieję, że tego zaufania nie zawiedziemy, głosując na wszystkie pytania "trzy razy tak."

Nie byłem pewien, czy komisja, o której ogólnikowo wspomniał, była w prawie obdarzać nas swym zaufaniem, wbrew wyraźnym przepisom dekretu, ale nie było czasu na rozmyślania, bo mówca zaczął charakteryzować tych, co ośmieliliby się głosować na którekolwiek z pytań "nie."

Senat to wróg postępu, to wymysł magnatów i reakcji. Polska potrzebuje szkół, pieniądze wydane na utrzymanie senatu, to pieniądze skradzione szkołom. Kto by głosował za senatem sam byłby reakcjonistą, pachołkiem Radziwiłłów i Mikołajczyków, wrogiem oświaty ludowej, wrogiem nowej, demokratycznej Polski.

Ktoś koło mnie mruknął, że pieniądze wydane na te wszystkie plakaty agitacyjne, to także pieniądze skradzione szkołom.

— Senat jest dobry dla faszystów i kapitalistów — wołał dalej porucznik — dlatego mają go Anglicy, nam nic jest do niczego potrzebny.

Z mowy porucznika wynikało jasno i dobitnie, że wrogiem ludu i pachołkiem reakcji byłby także ten, co głosowałby "nie" na pytanie drugie. O trzecim nic ma w ogóle co mówić. Kto by głosował "nie" — to zdrajca i Niemiec.

— Pocóż je tedy stawiacie? — mruknął ten sam głos z tłumu.

Porucznik skończył objaśniając tryb głosowania. Był to rzeczywiście tryb "uproszczony." W tej samej chwili obok porucznika pojawił się jakiś cywilny jegomość. Zdjął kapelusz, zamachał nim i zawołał:

— Proszę obywateli, ja jestem z PUR-u.

Wśród tłumu gruchnął huragan śmiechu. Jegomość stał z głupią miną, nie rozumiejąc powodu tej nagłej wesołości. Oświadczenie jego przy całym swym komizmie było wybitnie cyniczne. Dotąd nikt się o nas nie zatroszczył. Poza celnikiem nie widzieliśmy żadnego przedstawiciela władzy — zapasy dane nam przez UNRRA już się kończyły, byliśmy głodni, zmęczeni, niewyspani. I oto przedstawiciel urzędu, powołanego do opieki i troski o repatriantów, pojawiał się wsród nas, po dwóch dniach naszego pobytu na ziemi polskiej, aby agitować nas do głosowania, a mowę swą kończy obietnicą wydania prowiantów.

— Kiełbasa wyborcza — woła ktoś z tłumu. Gdybyż była to przynajmniej kiełbasa!

Tymczasem porucznik zdobył skądś dwa stoliki. Zasiadł przy jednym, a do drugiego zaprosił kogoś o inteligenckim wyglądzie spośród tłumu. Za nimi stanął drugi oficer dzwoniąc medalami. Na peronie pojawił się jakiś elegancki major o wybitnie semickich rysach twarzy. Spisywano nazwiska. Do stolików podejść mógł każdy, repatriant czy nie repatriant, podejść mógł tyle razy, ile razy by chciał, podać mógł nazwisko, jakie chciał, i wiek, jaki chciał. Otrzymywał kartkę i kopertę z pieczęcią. Potworzyły się grupki. Ludzie naradzali się co z kartkami robić.

— On kazal glosować "tak" — słyszałem głosy.

Gdzieindziej rozumowanie było jeszcze prostsze: "tak" to znaczy, że ci się podoba to co widzisz, że głosujesz za rządem, a przecie widać, że to rząd bolszewicki.

W pół godziny później koperty były oddane. Na stole nie było żadnej urny, ani zastępującego ją pudełka. Koperty kładło się po prostu przed porucznikiem, "na gromadkę." Gdy tłum się od stolików odsunął, porucznik bez żadnej ceremonii zgarnął koperty do swej teczki, zasalutował. Jazz-bandowa orkiestra odegrała foxtrotta. Więcejśmy porucznika ani kopert nie widzieli.

*

Tymczasem wrócili ludzie wysłani z poszczególnych wagonów po prowiant. Wrócili z pustymi rękami. Nasz przedstawiciel, młody, energiczny chłopak oświadczył po powrocie, że "tego paskudztwa, co tam leży, świni by nie dał." Mówił z taką pogardą i oburzeniem, że zaciekawiony podszedłem ku grupie ludzi przy jednym ze stacyjnych budynków. Drapali się po głowach. Między nimi na starej, pomiętej gazecie leżała na ziemi t.zw. pasta śledziowa, wyglądem i zapachem sprawiająca odrażające wrażenie. Państwowy Urzad Repatriacyjny spełnił swój obowiazek, wydał żywność ludziom, powracającym z Niemiec.

I znowu jedna noc w wagonie.

Jechaliśmy znowu przez las. Spalony las jest smutniejszy od spalonego miasta. Ku niebu sterczą nagie, odarte z liści i gałęzi, czarne kolumny śmierci. Jakby cmentarz pełen gęsto ustawionych krzyżów.

Traciliśmy już rachunek dni. Na postojach rozpalano ogniska warząc nad nimi wodę na herbatę. Resztki sucharów i herbata, więcej nic mieliśmy już nic.

I znowu noc w wagonie.

Rano stanęliśmy na małej stacyjce czekając parowozu. Na sąsiednim torze widać było wagony, pełne ludzi, krów, koni, owiec. Na dachach wagonów leżały rozebrane części gospodarskich wozów. Po drugiej stronie dwu chłopców bawiło się zjeżdżaniem z górki na rowerze pozbawionym gum. Ktoś wdał się z dziećmi w rozmowę:

— A skąd to dzieci jesteście?

— My spod Kołomyi — zaśpiewał jeden z chłopców.

— A my spod Lwowa — dodał drugi swym charakterystycznym akcentem.

Postój przeciągał się. Wysiadłem i podszedłem do wagonów. Już nawiązały się rozmowy. Kobiety sprzedawały jagody, mleko, masło.

— Długo tu już stoicie? — zapytałem.

— Jutro piąty tydzień panie — odpowiedziała mi kobieta w grubym białym fartuchu z niebielonego płótna. Przytrzymywała na stopniu wagonu garczek z jagodami.

— Dlaczegóż się nie wyładowujecie, przecie to mordęga dla ludzi i zwierząt mieszkać tyle czasu w wagonach?

— A pewnie Panie, mordęga, ale gdzie mamy się wyładować? Tam u nas zabrali nam gospodarstwa, a tu chcą żebyśmy w 8 rodzin zamieszkali we dworze i prowadzili gospodarstwo razem. My kołchozów nie chcemy. Tak i stoimy w wagonach.

— Długoście tu jechali? — pytam.

— Oj długo Panie, długo. Od początku maja jesteśmy w drodze.

— A co z waszą gospodarką tam pod Lwowem?

— Ukraińcy wzięli. Czekali już na nasz wyjazd.

— Mogliście zabrać wszystko.

— Tak, wzięliśmy wszystko, ale ile się rzeczy namarnowało. Pod Przemyślem źrebak nam z wagonu w biegu wyskoczył. I poszedł. Nawet nogi nie skręcił.

— Bardzo wam tam dokuczali?

— W zeszłym roku Ukraińcy napadali mocno i grozili, że do Rosji wywiozą. Trochę ludzi wywieźli, ze Lwowa głównie. W zimie i na wiosnę było spokojniej.

— A cóż we Lwowie, dużo tam jeszcze Polaków?

— Bardzo już mało, a ci, co jeszcze zostali, wyjadą także. Tam dla nas nie możliwe żyć . . .

Kobieta milknie i nerwowo poprawia chustkę.

— I cóż myślicie robić tu dalej? — pytam znowu.

— Nie ustąpimy — odpowiada — niech nas siłą wyrzucą. Muszą nam dać gospodarstwo. Dla kogo je tu trzymają? To nasza ziemia. — A po chwili dorzuca niepewnie: — Za rok może powrócimy w nasze strony.

Odtąd na każdej prawie stacji spotykamy transporty ludzi ze Wschodu. Jak tamci mieszkają w wagonach razem ze swym dobytkiem i inwentarzem. Jak tamci kołchozów nie chcą. Obok stoją puste, poniemieckie, chłopskie gospodarstwa. Porządne, murowane zabudowania, piękne ogrody i sady, a na polach zboże, którego niema kto zżąć . . . Ale komunistyczna doktryna mówi, że gospodarka na nich ma być kolektywna, bo tak jest w Rosji, i wspólna własność ziemi i narzędzi produkcji, bo tak jest także w Rosji. Opór chłopów to zwykły sabotaż; żyje w nich reakcyjny, "kułacki" duch. Jak w Rosji. Jeśli będzie na wiosnę głód, chłopi będą oczywiście winni, a nie komunistyczny rząd.

Towarzysze moi w wagonie z bólem patrzą na pola, z których nikt zboża nie zbierze, na opuszczone zabudowania gospodarcze i mieszkalne domy, na piękny, urodzajny, a pusty kraj Dolnego Śląska.

Coraz lepiej poznajemy prawdę.

*

Wieczorem znowu stajemy. Nie ma nadziei, żeby parowóz przyszedł prędko. Zostaniemy tu co najmniej parę godzin. Idę do kierownika ruchu dowiedzieć się, na ile jeszcze dni i nocy liczyć trzeba tę niekończącą się podróż.

Rozkłada ręce.

— Widział Pan sam, mamy tylko jeden tor, drugi pojechał na Wschód. Po tym torze musimy przepuszczać regularne pociągi pasażerskie, repatriacyjne pociągi z Niemcami, takie jak wasz idące z Niemiec, ale przede wszystkim wojskowe transporty sowieckie, a tych idzie i idzie niekończąca się ilość. I tak kolejnictwo polskie zdało egzamin sprawności. Co dzień przybywa tu jakieś nowe urządzenie techniczne, co dzień pociągi chodzą regularniej.

— Pan z jakich strony? — pytam.

— Spod Częstochowy. Wysłano mnie tu niemal przemocą. Trudno mi było jechać. Żona moja jest nauczycielką, musieliśmy się rozstać.

— Nie mógł Pan żony zabrać?

— Proszę Pana, ja zarabiam 4 tysiące już z dodatkiem zachodnim. Widział Pan już, jakie tu ceny. Mamy chłopca i dziewczynkę. Mowy nie ma o utrzymaniu rodziny za te pieniądze. Żona musi pracować. Żyjemy więc na dwa domy, ona z dziećmi tam, ja sam tutaj.

— A posady jako nauczycielka tu żona Pańska mieć by nie mogła?

Popatrzył na mnie przez chwilę, jakby coś ważył w myślach. Potem powiedział:

— Musiałaby należeć do partii. Nauczyciele teraz u nas nie są dobrze widziani. Uchodzą za najczarniejszą reakcję.

— Nauczyciele — zdziwiłem się naiwnie — przecie ZNP przed wojną był mocno czerwony. Wasilewska . . .

— To się dawno skończyło, — przerwał mi — ZNP, choć kontrolowany i naszpikowany wtyczkami komunistów nawet w zarządzie głównym, jest w ostrej opozycji do tego, co się politycznie i społecznie dzieje w Polsce.

— Gdzież więc rząd ma swoje oparcie: robotnicy w opozycji, nauczyciele w opozycji, chłopi w opozycji, kolejarze w opozycji . . . — nie dałem mu skończyć.

— Oparcie? — powtórzył z naciskiem — zapomina Pan o Urzędach Bezpieczeństwa i bagnetach sowieckich.

— Jakie Pan widzi zatem wyjście? — pytałem dalej.

— Do niedawna na 10 zapytanych, jakie widzą wyjście, 9 odpowiedziałoby Panu, że nie warto o tym myśleć, bo i tak za miesiąc będzie wojna. Teraz odpowie tak siedmiu lub sześciu. Strach przed możliwością nowej wojny jest coraz powszechniejszy.

— A nie sądzi Pan, że przeciąganie się obecnego stanu oznacza także w rezultacie koniec dla narodu?

— Nie sądzę — odpowiedział podnosząc się z krzesła — społeczeństwo jest wymęczone fizycznie, ale moralnie absolutnie nieprzemakalne. Komunizm tak samo nie ma do jego psychiki dostępu, jak nie miał hitleryzm. Tu u nas najbardziej rozpowszechnione są teraz dwa słowa: "odgórnie" i "oddolnie." To co odgórne to obce, to narzucone, to wrogie, to co oddolne to zdrowe, to swoje i broniące się przed tamtym pierwszym.

— Więc to, co mówią o zradykalizowaniu się narodu pod względem społecznym — to nieprawda?

— Proszę Pana, w Polsce nie może pozostać w całości to, co zostało wprowadzone teraz, ale nie ma powrotu do dawnych, przedwojennych czasów. Tak samo myślą ludzie, którzy są w całkowitej opozycji politycznej i moralnej do czerwonego totalizmu pana Bieruta i Gomółki. Radykalizm jest i będzie, jak długo utrzymają się zbyt rażące różnice społeczne.

— Jakto, — zapytałem zdumiony — czyż nie wszyscy jednakowo zbiednieli, nie wszyscy utracili majątki, czyż nie nastąpiła automatyczna niwelacja społeczna w wyniku wojny?

Zawiadowca wyjął papierosa. Zapalając powiedział:

— Dam Panu parę przykładów, sam Pan oceni, jak wygląda ta demokratyczna niwelacja społeczna w dzisiejszej Polsce. Urzędniczka, maszynistka w starostwie zarabia 800 do 1000 zł. Ta sama urzędniczka, jeśli ma protekcję, dostanie nakaz kwaterunkowy i pozwolenie, aby sobie założyć sklepik z wodą sodową i papierosami — i może mieć czystego zysku 20 lub 40 tysięcy na miesiąc. Profesor uniwersytetu zarabia 4.500 do 10.000 zł. w zależności od wieku. Młody, początkujący dziennikarz w prasie rządowego " Czytelnika " ma 25.000.— 30.000, a często znacznie więcej. Dysproporcje są rażące. Poza tym społeczeństwo ma dość totalizmu, można by powiedzieć mocniej, ma dość państwa, które właziło mu w garnki za sanacji, a stokroć gorzej włazi teraz i w garnki i w dusze.

—Wiec cóż, demoliberalizm . . . ? — zacząłem.

— Nie, nie, nie liberalizm — podchwycił gorąco. Gospodarstwo musi być planowe i kierowane. Tylko państwo i rząd nie mają żadnych kwalifikacji do tego kierowania. Spraw społecznych i ekonomicznych nie załatwia się przy pomocy policji.

— Pan interesuje się, widzę, ekonomią — zauważyłem.

— Niechże mi Pan odpowie przed rozstaniem na jedno jeszcze pytanie. Jak wyobraża sobie, zdaniem Pana, przyszłość tych 3 czy 4 na dziesięciu, którzy sądzą, że wojny nie będzie?

Wyszliśmy razem na peron. Wieczór był gorący. Gdzieś zza torów dochodził mocny zapach bzów.

— Są tacy, którzy jeszcze wierzą w wybory. Tych jest jednak niewielu. Inni sądzą, że Ameryka będzie umiała Rosję zepchnąć do dawnych jej granic — samą groźbą wojny. Rosja dobrych lat kilka jeszcze musi wojny unikać.

Czas było wsiadać. Uścisnęliśmy sobie mocno dłonie. Rozmowa z zawiadowcą wywarła na mnie duże wrażenie.

Tej nocy mieliśmy nieprzyjemny wypadek. W czasie postoju na jakiejś małej stacyjce dwóch żołnierzy sowieckich usiłowało z jednego z wagonów wyciągnąć kobietę. Twierdzili, że jest Ukrainką i że ją aresztują. Był to prawdopodobnie pretekst, bo gdy mężczyźni w wagonie przybrali "groźną postawę," żołnierze odeszli — klnąc i wymyślając na całe gardło. Byli mocno pijani.

Zapowiedziano nam, że wieczorem będziemy nareszcie na punkcie rejestracyjnym PUR, a stamtąd rozjedziemy się już do domów indywidualnie. Zapanowało znowu, przygaszone zmęczeniem, podniecenie. Na stacjach spotykało się już trochę pasażerów. Na jednej z nich tłoczyła się na peronie na walizkach i tłumokach z pościelą grupa Żydów. Wdałem się z nimi w rozmowę. Osiedleńcy, repatrianci z Kazakstanu. Do Rosji byli deportowani w 1940 roku. Przebyli tam blisko 6 lat. W głębi siedzi młoda Żydówka w poważnym stanie. Na kolanach kołysze 2-letniego chłopca. Przy niej mąż i szwagier. Inżynier i nauczyciel gimnazjalny ze Stanisławowa.

— Tu się osiedlacie? — pytam.

— Byliśmy tu tydzień, teraz przerzucają nas do Opola — mówi inżynier.

— Dawnoście przyjechali z Rosji?

— Wyjechaliśmy z Kazakstanu w kwietniu, trzy miesiące byliśmy w drodze.

— Jakżeż tam było?

— My byliśmy na posiołku — mówi kobieta — tam było źle, ale inni, pracujący w fabrykach i przy drogach, marli jak muchy z głodu i wycieńczenia.

— Ale uniknęliście za to Hitlera — podsuwam prowokacyjnie.

— Bolszewik czy Niemiec, to dla nas to samo — mówi kobieta z błyskiem nienawiści w pięknych czarnych oczach — obaj mordercy, obaj zbrodniarze.

— Nie denerwuj się Guścia, jeszcze sobie zaszkodzisz — wtrąca jeden z mężczyzn i patrząc mi w oczy ciągnie:

— Czy po tym strasznym nieszczęściu, które wszystkich nas spotkało, nie powinniśmy się odmienić, i my niedobitki polskich Żydów i wy Polacy? Czy nie czas, żeby sobie zapomnieć nawzajem urazy? Nas tu namawiał jeden, żeby się starać o wyjazd do Palestyny. Ja nie chcę jechać do Palestyny, ja jestem związany z Polską . . .

— Prasa żydowska na świecie krzyczy, że tu stale pogromy Żydow — zaczepiam.

— Pan zna Żydów? — pyta inżynier. — Żydzi to głupi naród, oni się do polityki zupełnie nie nadają. Tu nas jest teraz podobno w Polsce nie więcej jak 300.000, a we wszystkich biurach rządowych pełno Żydów. Ja nigdy nie widziałem tylu Żydów urzędników i oficerów co teraz. Chyba z polowa Żydów w Polsce to urzędnicy i oficerowie z Bezpieki. Po co oni tam idą? Polacy nienawidzą komunistycznego rządu, a głupi Żydzi mu służą, choć wiedzą, że Rosja ich prędzej czy później wykończy. Bolszewicy to gorsi antysemici od nazistów.

— Jakież Pan widzi wyjście?

— Chciałbym, żeby Polacy zrozumieli — odpowiada z przejęciem — że nie wszyscy Żydzi, którzy wracają z Rosji, to komuniści i sowieccy agenci, że wiekszość ich czuje tak samo i pragnie tego samego co Polacy, straciła wszystko jak oni i chciałaby już mieć wreszcie trochę spokoju . . .

Po południu wjeżdżamy wreszcie na wielki dworzec miasta, które było celem naszej podróży. 7 dni i 6 nocy w wagonie. Ledwo trzymamy się na nogach.

Pociąg staje. Na peronie nie widać żywego ducha. Tylko z dworca dochodzi ryk głośników, przez które, wśród trzasków i warkotu, płyną tony jakiejś kozackiej, dzikiej piosenki, przeplatane rosyjskimi przemówieniami z dworcowego " agitpunktu." Na jednym z dalszych peronów tłum żołnierzy i oficerów sowieckich. Z drugiej strony na torze wielka, szaro-niebieska lokomotywa z portretem Lenina umocowanym na przedzie.

— Chryste, gdzie my jesteśmy — jęczy jakaś kobieta.

Nasz parowóz gwizdnął przeciągle i odjechał. Bezdomny transport półtora tysiąca repatriantów stoi opuszczony i ogłupiały. Ktoś wyrusza na poszukiwania PUR-u. Powraca po godzinie z wiadomością, że PUR jest zamknięty. Biura czynne są tylko do 5-ej, teraz zaś jest już całe 20 minut po terminie.

A pociąg mamy opuścić, wagony muszą być wyładowane w ciągu godziny!

Pomęczeni ludzie dźwigają więc swe toboły na plecach poprzez tory, perony, tunele, poprzez plac, tonący w czerwieni sowieckich sztandarów i portretów, wloką się około kilometra do brudnych, zawszonych sal t. zw. schroniska dla repatriantów. Dwu wyrostków, z karabinami na plecach i z jakimiś nieokreślonymi opaskami na ramionach, nie wiadomo dlaczego popędza nas i popycha, klnąc przy tym ordynarnie, z rosyjska.

Pomimo brudu i wszy, pomimo twardych prycz, pomimo głodu, który skręca nam kiszki, zasypiamy natychmiast. Jesteśmy u kresu sił.

Rano — wychodzę na miasto i pierwszą osobą, którą spotykam przy wejściu do schroniska, jest T. Widzieliśmy się ostatni raz w 1941 roku. Ją aresztowano w lipcu, mnie w kilka miesięcy później. Wpadła z powodu mojej nieostrożności i brawury. Przeszła 3 więzienia w Polsce, 4 obozy koncentracyjne w Niemczech, 2 zapalenia pluc, dezynterię i tyfus plamisty. Pomimo to wygląda świetnie. Jest silna i dzielna jak zawsze. I jak zawsze pełna entuzjazmu.

Trzymamy się za ręce i idziemy przez puste jeszcze ulice miasta.

T. czekała tu na mój przyjazd od 4 dni. Wiedziała, że wrócić mam tym transportem. Jest w kraju już od roku. Z Niemiec przyszła pieszo do domu. Gdzieś w nicość zapada przeszłość, lata niewoli, rozłąki.

— Tak dobrze, żeś przyjechał — mówi T. — W kraju ludzie są bezgranicznie zmęczeni, a walczyć trzeba dalej, walczyć o wszystko. Oczywiście ci, co naprawdę mogą walczyć skutecznie za granicą, muszą tam zostać, ci co się uczą niech zostają także, i ci co są zagrożeni politycznie. Nie pomogą nam, a przeciwnie staną się dla nas ciężarem, ale reszta jeśli wróci doda nam sił, bo naród trzeba podtrzymać, wesprzeć każdym ramieniem w jego walce i pracy o nowe lepsze jutro.

— Wierzysz zatem, że przyszłość w obecnych warunkach budować można w kraju? — pytam zdziwiony.

— Wierzę, że przyszłości budować nie można bez kraju, przyszłości najtrwalszej, broniącej duszy społeczeństwa przed tym, co chce ją rozłożyć, ale jednocześnie przetwarzającym tę duszę do nowego, lepszego życia. Rząd obecny jak nalot przeminie. To natomiast, co sami dziś wzniesiemy, dzieci, które wychowamy, młodzież rozbitą psychicznie i często zdemoralizowaną, którą nauczymy solidarności i współdziałania, starych, skazywanych dziś przez doktrynerskich fanatyków nienawiści na zagładę, których podtrzymamy,— to pozostanie. Czymże zaś innym jest naród w swej istocie?

JÓZEF BIEROŃ.

ALEKSANDRA POLESKA

MIĘDZY HISTORIĄ A LEGENDĄ

Najstarszymi mieszkańcami Wysp Brytyjskich byli ludzie, należący do rasy zwanej dziś iberyjską. Około VI wieku przed Chrystusem zjawili się jednak nowi przybysze — wysocy, o jasnych włosach i oczach. Tymi nowymi najeźdźcami okazali się Celtowie, którzy do W. Brytanii przybyli w dwóch wielkich falach. Była to rasa niezwykle utalentowana i obdarzona żywą wyobraźnią. Pierwiastek celtycki przyniósł ze sobą pewną płynność i miękkość w odróżnieniu od wojowniczości, cechy charakterystycznej ich poprzedników. Niewiadomo, czy pierwotna nazwa wyspy "Albion" jest pochodzenia celtyckiego, czy też iberyjskiego. Pewne natomiast jest, że nazwa "Brytania" pochodzi z czasów drugiego najazdu celtyckiego, ponieważ Celtowie biorący w nim udział nazywali siebie Brytanami.

Język staro-celtycki zachował się do dnia dzisiejszego w niektórych częściach Szkocji i Walii. To, że zaginął zupełnie w sąsiedniej Kornwalii, jest wynikiem reform Henryka VIII. Reformy te, zwłaszcza po jego śmierci, były dokonywane w sposób nieubłagany. Jedną z nich, mającą tu zasadnicze znaczenie, było wprowadzenie książki do modlitwy w języku angielskim (*The English Book of Common Prayer*). Ówczesna Kornwalia była krajem o wielkiej tradycji katolickiej, a ludność jej nie rozumiała w przeważającej swej części po angielsku, więc przeciw władzom centralnym wybuchło powstanie.

Powstanie kornwalijskie zostało jednak krwawo stłumione i angielska książka do nabożeństwa została wprowadzona. Gdyby przetłumaczono ją na język miejscowy, tak jak to zrobiono w Walii, ludność nie zapomniałaby swej mowy ojczystej. Dziś nie można już spotkać w Kornwalii nikogo, ktoby mówił po staro-celtycku.

Świadkami bujnego życia, jakie rozwijało się na całym zachodnim wybrzeżu W. Brytanii w czasach przed- i wczesno-historycznych, pozostały jedynie legendy ludowe. Nietylko nie zanikły one, ale urokiem swym podbiły niejako najpierw saskich, a potem normandzkich najeźdźców; w wiekach średnich przedostały się do Francji i stamtąd rozprzestrzeniły się na cały świat. Stały się własnością i ulubionymi wątkami literatury angielskiej, francuskiej i niemieckiej. I mało już kto wie dziś o tym, że legenda o św. Graalu, o królu Arturze i Rycerzach Okrągłego Stołu, a także najpiękniejsza i najbardziej wzruszająca z nich wszystkich — historia Tristana i Izoldy — początek swój wzięła z ludowych legend Kornwalii.

Wieki średnie stworzyły z postaci króla Artura symbol doskonałego władcy i niezłomnego rycerza. Czyny króla Artura i jego Rycerzy Okrągłego Stołu stały się wzorem i jakby kodeksem moralnym wszystkich społeczeństw chrześcijańskich na długie lata. Rycerze ci wprowadzali w życie chrześcijański ideał miłości bliźniego, opieki nad słabszymi i walki o tryumf prawdziwej religii. Ożywiał ich ten sam duch, który stworzył strukturę społeczną Europy wieków średnich, a który zaznaczył się najsilniej w wyprawach krzyżowych. Rycerze Okrągłego Stołu był to rodzaj bractwa, wśród którego panowała absolutna równość przy jak najściślejszym obserwowaniu zasad hierarchii, związanej z piastowanymi godnościami. Symbolem zaś tej równości, powstałej z głębokiej wiary, że wszyscy ludzie są równi wobec swego Stwórcy, był własnie ów Okrągły Stół, przy którym wszyscy zasiadali. Legendy arturiańskie stały się nie wysychającym nigdy źródłem natchnienia dla pisarzy i poetów, to też literatura na tych wątkach oparta jest jedną z najbardziej obfitych. Z literatury angielskiej wymienić należy Malory'ego (XV w.), Miltona, Spencera, Drydena, Scotta, Morrisa i Tennysona, którzy się tym tematem zajmowali.

Król Artur jest postacią historyczną. Uczeni wskazują na zamek w Tintagel (północna Kornwalia) jako na jego siedzibę, którą zajmował podobno około 540 roku.

Tintagel ogólnie uważany jest za jedno z najpiękniejszych miejsc w Kornwalii. Ruiny zamku, które pochodzą już z czasów po-arturiańskich, leżą na stromej jak ściana skale, oblanej z trzech stron wodą; w dole szafirowe morze oddycha niespokojnie. W szóstym wieku zamek ten musiał być absolutnie niedostępny.

Najstarszy dokument, w którym imię Artura jest wymienione, pochodzi z 800 roku. Jest to *Historia Brittonum*, napisana przez Walijczyka Nenniusa. Żadna kronika z czasów bliższych Arturowi nie zachowała się; nie darmo okres pomiędzy pierwszym najazdem Sasów (449) i najazdem normandzkim nosi nazwę *Dark Ages* w historii i literaturze. W każdym razie jednak na podstawie dostępnych dokumentów zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w okresie ogólnego chaosu, jaki zapanował po opuszczeniu wyspy przez Rzymian, zachodni Brytanowie zostali zorganizowani i zachęceni do oporu przeciwko saskim najeźdźcom przez wojownika o wybitnej indywidualności. Organizatorem tym był właśnie król Artur, który jako władca chrześcijański i człowiek związany z tradycjami kultury rzymskiej (żona jego Ginewra pochodziła z rzymskiej rodziny osiadłej w Wielkiej Brytanii), walczył przez całe życie z zalewem pogańskich barbarzyńców. Stoczył z nimi pięć dużych, zwycięskich bitew i odrzucił ich daleko na wschód. Dopiero po śmierci Artura najeźdźcy ośmielili się podjąć na nowo podboje i z czasem opanowali całą Anglię. W kronikach swych zaś przemilczeli dokładnie czyny i zwycięstwa wielkiego swego przeciwnika. Tym się właśnie tłumaczy fakt, że poza Nenniusem i ustną tradycją nie ma żadnych wcześniejszych źródeł wiedzy o Arturze. Wszystkie inne pochodzą już z XII wieku i później, i zostały ozdobione opowieściami i legendami ludowymi, jakie tymczasem narosły.

Król Artur należy zresztą do tych postaci, które jak Piast czy Krakus mają silniej ugruntowaną pozycję w legendzie niż w historii. W samej Kornwalii istnieje przeszło 60 miejsc związanych z jego imieniem, nie licząc Walii i Dolnej Szkocji, która również miała być terenem jego działalności. Według wyrażenia jednego z uczonych, który specjalizował się w historii Artura, "tylko jeden diabeł jest popularniejszy od niego i częściej w baśni ludowej występuje".

Wielki król zginął w sposób tragiczny. Zabił go jego własny bratanek imieniem Mordred, który zbuntował się i sięgnął po władzę. Wielka bitwa stoczona została niedaleko Camelfordu (miasteczko w północnej Kornwalii, znane później z tego, że James Macpherson, autor "Pieśni Ossiana", był przez długi czas jego reprezentantem w Parlamencie). *Slaughter Bridge* czyli tak zwany Most Rzezi miał być miejscem porażki Artura oraz jego drużyny. Most ten można oglądać do dzisiaj. Jest to jeden z najcenniejszych zabytków prymitywnego budownictwa celtykiego z kamienia. Zdrajca Mordred został zabity, ale i sam Artur otrzymał śmiertelną ranę. Miejsce, gdzie zotał pochowany, nie zostało dotąd ustalone. Jedni twierdzą, że jest nim Glastonbury (miejscowość związana z legendą o św. Graalu), drudzy wskazują na skrawek ziemi pod Camelfordem, znany pod nazwą "grobu Artura". Ludność Kornwalii przez długie lata wierzyła, że król nie zginął, ale czeka w ukryciu, aby zjawić się w chwili, gdy ojczyzna jego znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Według legendy po śmierci Artura Rycerze Okrągłego Stołu rozproszyli się po całym świecie. Ideały ich stały się bardziej ziemskie i stracili z oczu wzniosły cel, do którego każdy z nich dążył; do znalezienia czary z krwią Chrystusa Pana, którą miał przynieść do W. Brytanii Józef z Arymatei, świadek Golgoty. Czara ta nosiła nazwę św. Graala i schowana była w niewiadomym miejscu przed oczyna ludzi. Przygody rycerzy, Parcivala i innych, którzy pokusili się, aby ją zdobyć, wypełniają setki stron dzieł temu tematowi poświęconych. Przez długi czas nie danym im było znaleźć tego czego szukali, gdyż myśli ich nazbyt były zajęte sprawami doczesnymi. Dopiero młodemu rycerzowi zwanemu Sir Galahadem, który miał duszę czystszą niż dusza dziecka, przypadł w udziale ten wielki przywilej. Opowiadania o św. Graalu stanowią drugi wielki człon w legendach arturiańskich.

Trzeci to historia Tristana i Izoldy. Nie ma ona tak bohaterskiego tła jak czyny króla Artura, tematem jej jest odwieczna walka człowieka z losem o prawo do szczęścia osobistego. Do dnia dzisiejszego znaleźć można w Kornwalii parę miejsc z historią tą związanych, aczkolwiek historyczność bohaterów jest tu bardziej wątpliwa, bo opiera się niemal wyłącznie na ludowej legendzie.

W odległości mniej więcej półtorej mili od Fowey (południowa Kornwalia) znajduje się skrzyżowanie wszystkich dróg, jakie do tego miasteczka prowadzą. W pośrodku stoi wielki kamień, o wysokości około 8 stóp, t.zw. *inscribed stone*. Kamieni takich w Kornwalii jest co najmniej dziewięć; pochodzą one z V lub VI wieku i postawione zostały dla upamiętnienia grobów wielkich ludzi, wodzów lub królów. Słowa na nich wykute są w języku łacińskim. Napisu na kamieniu z Fowey nie można dziś już odczytać. Brzmiał on jak utrzymują: *Drustagni hic jacet Cunomori filius* (tu leży Drustagni, syn Cunomorusa). Drustagni to celtycka odmiana imienia Tristan, zaś Cunomorus identyfikowany jest z królem Kornwalii Markiem, tym samym, który poślubił Izoldę, "królewnę o złotych warkoczach".

Legenda o Tristanie i Izoldzie powstała wśród plemion zamieszkujących Kornwalię, ale prędko stała się własnością wszystkich ludów celtyckich. Przez Bretanię przedostała się do Francji, której zawdzięcza swój rozkwit. Z chropowatej legendy ludowej geniusz francuski wieków średnich stworzył porywający poemat miłosny. W czasach między dwoma ostatnimi wojnami Francuz również, J. Bedier, otrzymał za opowieść o Tristanie i Izoldzie nagrodę Akademii Francuskiej. Książka ta została przetłumaczona na język polski przez Boya-Żeleńskiego; w języku angielskim zaś ukazała się w opracowaniu Hilaire Belloca pod tytułem *The Romance of Tristram and Iseult*. Oprócz wielu pisarzy pomniejszego kalibru temat ten podejmowali: poeta Swinburne w *Tristram of Lyonesse*, Matthew Arnold w *Tristram and Iseult* i Thomas Hardy, jeden z najpopularniejszych powieściopisarzy XIX wieku, w *Queen of Cornwall*.

Pomiędzy Fowey z Tywardreath leży osiedle o romantycznej nazwie *Castle Dore*. Nazwa utrzymuje się między ludnością, pomimo że z zamku nie pozostał ani jeden kamień. Jedynym śladem są prace ziemne, które wyraźnie wskazują na istnienie dwoch fos, wewnętrznej i zewnętrznej, okalających zamek. Na tym właśnie zamku panował niegdyś dobry król Marek, którego legenda wyposażyła w prawdziwie królewską wielkoduszność, pozwalającą mu przebaczyć winy tragicznych kochanków.

Pośród innych miejsc mających łączność z historią Tristana istnieje jeszcze jedno szczególnie urocze. U zachodniego wybrzeża Kornwalii znajduje się grupa wysepek noszących nazwę Scilly Isles. Miejscowa tradycja nadaje im jednak i drugą nazwę "wysp szczęśliwych" (*The Fortunate Isles*). Nazwa ta pochodzi stąd, iż w czasach przedhistorycznych wyspy te połączone ponoć były pasem stałego lądu, t.zw. *Land of Lyonesse*, z najbardziej na zachód wysuniętym punktem Kornwalii. Ląd ten zapadł się później w morze, a legenda z tym związana przypomina opowieść o zatopionej Atlantydzie. Wyspy "szczęśliwe" były jedynymi, które tego losu uniknęły, chociaż częściowe zapadanie się lądu odbywało się i później w czasach historycznych. Mówią o tym wcale wyraźnie średniowieczni kronikarze. Na jednej z tych wysepek, która nosi nazwę św. Samsona, walijskiego męczennika, miał dzielny Tristan stoczyć śmiertelny bój z Irlandczykiem Moroltem i odnieść nad nim zwycięstwo. Na te wyspy kazał się też wieźć król Artur po otrzymaniu śmiertelnej rany, aby na nich dokonać żywota, — widać były najbliższe jego sercu z całej kornwalijskiej ziemi.

I nikt się temu nie dziwi. Klimat wysp "szczęśliwych" należy do najlepszych w W. Brytanii. Nieliczni mieszkańcy zajmują się hodowlą kwiatów, których całe snopy wysyłają do Anglii w miesiącach zimowych. Najpiękniej zaś jest na nich wieczorną porą. Morze ma kolor srebrno-szary i wygląda jakby kryło w sobie jakąś tajemnicę niedostępną ludzkiemu oku. O takiej porze zabobonni mieszkańcy zamykają się w chatach i pilnie czegoś nadsłuchują. To dzwony stu czterdziestu zalanych przez morze kościołów rozpoczną za chwilę swój koncert.

ALEKSANDRA POLESKA

M. E. ROJEK

PRZYCZYNOWOŚĆ POLITYCZNA W DZIEJACH POLSKI

O próbie Wojciecha Wasiutyńskiego interpretacji historii Polski

JEDEN z najzdolniejszych publicystów politycznych średniego już pokolenia polskiego Wojciech Wasiutyński, pierwszy na emigracji wystąpił ze śmiałą próbą sformułowania nowego poglądu na dzieje Polski, odpowiadającego naszym czasom i naszym potrzebom. Mówimy "pierwszy", bo niedługo po ukazaniu się książki Wasiutyńskiego ukazała się jeszcze obszerniejsza praca innego znanego publicysty kierunku narodowego, Jędrzeja Giertycha, który również przedsięwziął zadanie przeglądnięcia na nowo dziejów Polski i sformułowania nowych poglądów na stare zagadnienia z historii politycznej naszego kraju. Spodziewać się należy, że takich prób będzie więcej, gdyż czasy jakie przeżywamy zachęcają do konfrontacji tego, czego nas nauczono o przeszłości Polski i świata — z tym, czego samiśmy się dowiedzieli i nauczyli lub przemyśleli. Poza tym nie zapominajmy, że zbliża się *tysiąclecie* historii Polski, tysiączna rocznica pierwszych zdarzeń, jakie historia o naszym narodzie zanotowała, — i że ta okoliczność skłaniać będzie wielu Polaków, w ciągu najbliższych dwu dziesiątków lat, do dokonania pewnych syntez pierwszego naszego tysiąclecia. Prace te będą, naturalnie, rozwijały się pod warunkiem, że jakaś bomba atomowa nie przeniesie współczesnych ze świata historycznego do świata pozahistorycznego.

Dzisiaj ograniczamy się do omówienia książki Wasiutyńskiego, która ukazała się pierwsza. Egzemplarz recenzyjny, nadesłany do Redakcji, nosi przypisek: "październik 1946". Wyszczególnione na okładce miejsce wydawnictwa niezwykle wymownie ilustruje warunki, w jakich musiał torować sobie drogę w roku 1946 swobodny polski pogląd na dzieje narodowe. Wymowna jest też wzmianka na jednej z pierwszych kart książki: *Z powodu trudności technicznych książka ta ukazuje się bez korekty autorskiej.*

Wiadomo nam poza tym, że autor pisał swoją książkę w 1941 r., kiedy przebywał na terenie Francji, zajmując się zresztą głównie nie historią, ale działalnością organizacyjno-polityczną i wojskową w polskim ruchu podziemnym. Stąd wysnuwamy wniosek, że tezy swoje sformułował autor jeszcze dawniej, przed wojną w Polsce.

Książka Wasiutyńskiego nie jest wykładem historii, jest ona wykładem poglądów autora na historię Polski, jest essayem, albo zbiorem essayów o historii. I dlatego ważne są dla czytelnika nie szczegóły, ale syntezy, oceny i sformułowania generalne, o głównych zagadnieniach naszych dziejów. Takie określenie pracy dr. Wasiutyńskiego pozwala recenzentowi skupić się na sprawach głównych, na których autorowi zależało, a nie na szczegółach, które niejednokrotnie wołają o dyskusję dokładniejszą, nie pozostającą jednak w żadnym związku z głównymi problemami, o których traktuje książka.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że brak korekty autorskiej odbił się na tekście książki bardzo wyraźnie. Dotyczy to zarówno błędów drukarskich, jak i kilku drobniejszych szczegółów, których sprawdzenie w czas przez autora pozwoliłoby mu uniknąć zarzutów pedantów, a między nimi i recenzenta. I tak np. Karol Robert andegaweński nie był bratem ciotecznym Kazimierza Wielkiego, ale jego szwagrem. Nie wpływa to, naturalnie, na ocenę ówczesnych stosunków polsko-węgierskich, ale nie powinno mieć miejsca w książce traktującej o historii. Korekta autorska pozwala uniknąć takich drobnych i dokuczliwych uchybień, a jeszcze lepiej spełnia zazwyczaj to zadanie przejrzenia tekstu przed oddaniem do druku przez kogoś kwalifikowanego i mającego dostęp do biblioteki. Stąd to właśnie każda przedmowa do normalnie wydanej książki naukowej zawiera tyle podziękowań i "pokwitowań". Na to naturalnie autor mógłby odpowiedzieć, że książka nie była pisana ani publikowana w warunkach normalnych. Pisana była w czasie wojny we Francji, drukowana zaś w warunkach pierwszego roku okupacji alianckiej w Niemczech, kiedy to każdy Polak znajdujący się, jak autor, w polskich szeregach wojskowych, miał tyle zadań i trosk społecznych lub, nieraz, także osobistych. Na to można znowu zauważyć, że powinno się czekać z wydawaniem książek na lepsze warunki. Ale czy naprawdę można stać na tym stanowisku?

Inne twierdzenia szczególne powinny być zaopatrzone przypiskami. Np. czy w tekście traktatu sojuszu francusko-rosyjskiego z 1893 r. naprawdę znajdowała się klauzula, że Rosja zwolniona będzie ze zobowiązań, jeżeli wybuchnie powstanie w Polsce?

Wyrażamy tu nadzieję, że autor opracuje drugie wydanie swojej książki i rozszerzywszy ją nieznacznie zamknie usta pedantycznym krytykom. Skrytykowawszy zaś tak surowo niedociągnięcia w opracowaniu zewnętrznej formy tekstu, zajmijmy się treścią książki, t.j. tym, co o wartości książki decyduje.

Naszym zdaniem treść książki oddaje lepiej tytuł wybrany dla niniejszego artykułu, niż tytuł książki. Polityka bowiem oznacza świadomą i programową działalność ludzką w zakresie kierowania sprawami danej *politei*, miasta-państwa, narodu-państwa, imperium, czy też jakiejkolwiek innej formacji typu społecznie najwyższego.

W dziejach Polski nie zawsze spotykamy się z "polityką" w tym znaczeniu, choć naturalnie wszystkie wydarzenia w tych dziejach z natury rzeczy mają charakter polityczny. Jak autor zresztą właściwie i trafnie rozumie to zagadnienie, dowodzi zdanie jego wyrażone przy końcu książki: *To, że Polska istnieje, jest dziełem polityki nie geografii, bardziej niż w jakimkolwiek innym kraju i narodzie.* Innymi słowy, bardzo słusznie wskazuje Wasiutyński, że warunki naturalne naszego położenia geograficznego są tak niepomyślne, iż utrzymanie się naszego narodu w dziejach jest jednym z ciekawszych i kluczowych zjawisk historii naszej cywilizacji.

Już ten pierwszy cytat wskazuje, że autor odznacza się dużą zdolnością do formułowania zwięzłych syntez, nieledwie aforyzmów, pozwalających orientować się w masie zjawisk i wydarzeń historycznych. I to jest jedna z głównych zalet i wartości książki.

Wasiutyński nie jest historykiem i dlatego na początku książki broni prawa publicysty politycznego do zajmowania się historią jako dyscypliną *par excellence* polityczną i do formowania własnej swojej oceny głównych zjawisk historii. Ocena ta ma opierać się nie na znajomości źródeł historycznych z pierwszej ręki, ale na stosowaniu doświadczenia z obserwacji i analizy współczesnych zjawisk politycznych do faktów historycznych podanych i opisanych przez uczonych badaczy dziejów. Jest to stanowisko uzasadnione zarówno ze względu na istotne cechy historii politycznej, jako nauki w której nic poważnego osiągnąć nie można bez rozumienia polityki w ogóle, jak też i z tego powodu, że publicystyka historyczna — publicystyka traktująca o historii — jest najbardziej może skutecznym sposobem szerzenia w społeczeństwie zamiłowania do historii narodowej, do interpretowania historii zgodnie z doświadczeniami praktyki politycznej oraz do wydobywania ze zdarzeń współczesnych sensu historycznego.

Główna treść książki Wasiutyńskiego podzielona jest na sześć rozdziałów, z których każdy już swoim tytułem sugeruje pewien określony pogląd na dany okres dziejów Polski.

Rozdział pierwszy o wyłonieniu się Polski jako gotowego państwa z "mroków historii" jest doskonałym wręcz, popularnym opracowaniem tematu i ma swoją własną wartość. Jest to inteligentna synteza wyników różnych nauk, które służą badaniom okresów prehistorycznych w dziejach, tak iż otrzymujemy całość ciekawą, zwartą i przekonywającą. Mnogość zamieszczonych szczegółów kusi do polemiki lub do szukania wyjaśnień bardziej dokładnych. Można wyrazić nadzieję, że autor nadal interesować się będzie zagadnieniem prehistorii polskiej i w następnym wydaniu rozdział swój o prehistorii nieco rozszerzy. Szerszego omówienia domaga się np. kwestia rasy antropologicznej i takiego jej zdefiniowania, żeby uzyskała ona swoje właściwe, nieprzesadzone ale i niepomniejszone, miejsce w zespole pojęć pomocniczych przy nauce historii. Chodzi nam głównie o takie ujęcie tego zagadnienia, w którym by pojęcia antropologiczne potraktowane zostały nie statycznie i opisowo w danym jednorazowym przekroju społeczeństwa, ale funkcjonalnie — jako zjawisko utrzymywania pewnego obrazu antropologicznego danej ludności *przez dziedziczenie pewnych zespołów cech fizycznych i może psychicznych, lub temperamentalnych.*

Osobno pochwalić należy autora za dobre wyjaśnienie naturalnych faz religijnych w społeczeństwach pierwotnych i podkreślenie interesującej niezwykle tezy, że Polacy w okre-

---

[1]) Wojciech Wasiutyński: *Tysiąc lat polityki polskiej.* Wydawnictwo "Słowo Polskie" Dachau - Freimann - Monachium - Dillingen, 1946. Stron 162. Cena 9s.

sie przyjmowania chrześcijaństwa ściślej związani byli z fazą dawniejszą wierzeń naturalnych t.j. religią opartą o podziw dla sił żywotnych człowieka, niż z fazą następną, t.j. wiarą w życiodajne siły przyrody. Pierwsza forma religii będzie zawierała w sobie więcej elementów magicznych, druga mitologicznych. Tłumaczyć to może wiele z naszej wczesnej historii i obyczajowości.

Skoro mowa o religii, to i inne sformułowania autora, dotyczące późniejszych okresów naszej historii, są bardzo przekonywające. I tak np. charakterystyka chrześcijaństwa polskiego jako zwróconego z konieczności na zewnątrz raczej niż na wewnątrz — jest świetna. Tak samo określenie reformacji polskiej jako ruchu więcej społeczno-politycznego niż istotnie religijnego — ze wszystkimi tego konsekwencjami zarówno wewnątrz kraju jak i na arenie międzynarodowej — tłumaczy doskonale przebieg wydarzeń.

W ocenie politycznej historycznych okresów naszych dziejów Wasiutyński odznacza się z jednej strony skłonnością do głębszej analizy podkładu społecznego zjawisk historycznych, z drugiej zaś sądem spokojnym i nawet wytrawnym, nie powziętym z góry, ale zawsze uzasadnionym rzeczowo. Jest on daleki od ograniczenia historii narodu do wyłącznie historii dyplomacji i polityki w znaczeniu ściślejszym, ale sięga zawsze do zagadnień społecznych, do głębokich procesów socjalnych, od których tak często zależy i powzięcie decyzji politycznej i jej następstwa.

Przede wszystkim zaś wykazuje Wasiutyński tak rzadkie naprawdę u Polaków zrozumienie *instytucyj* w życiu i funkcjowaniu społeczności politycznej. Rozumienie, czym jest instytucja społeczna, polityczna i prawna, jest, naszym zdaniem, probierzem rozumienia w ogóle polityki jako najwyższej, królewskiej, sztuki. W tym wypadku rozumienie instytucyj w historii i polityce kwalifikuje publicystę jako poważnego pisarza politycznego. Wasiutyński jest takim pisarzem.

Takie wyjaśnienie, jakie sformułował autor o istocie konfliktu między Bolesławem Szczodrym a świętym Stanisławem, lub na przykład — z zupełnie innej epoki — przedstawienie Rewolucji Francuskiej i polskich walk porozbiorowych o niepodległość jako różnych objawów tego samego procesu politycznego w Europie, jest naprawdę na bardzo wysokim poziomie rozumienia historii. "... Rozbiory Polski — cytujemy — rozumiano w Europie jako koniec narodu polskiego... Legiony powstałe w imię *nowej zasady* (podkreślenie recenzenta), że naród może przeżyć państwo i odrodzić się na nowo, i Rewolucja Francuska dokonana w imię *nowej zasady*, że władza państwowa należy do ludu a nie lud do państwa — to dwa oblicza tego samego przewrotu w polityce".

Praca Wasiutyńskiego spotka się zapewne z krytyką wielu, a niektórych może nawet dotknie i oburzy. Zrównoważony i chłodny autor daje się ponosić pasji, kiedy ze zgryźliwą ironią pisze o bezmyślności szlachty wieku XVII i XVIII i poddawaniu się przez nią wpływom wschodnim. Jest to jednak pasja, naszym zdaniem, uzasadniona. Podobnie dużej odwagi intelektualnej wymaga bardzo trzeźwe określenie, jakie siły zdecydowały w ostatniej instancji o przywróceniu nam niepodległości po Pierwszej Wojnie Światowej.

Zachowując swój samodzielny, odrębnie i ostro zarysowany, a żadnymi względami ubocznymi niezatarty, kontur widzenia spraw historii i polityki, autor pozostaje w pełni obiektywny. Wyrażając się krytycznie o obozie "jakobińskim" w polityce polskiej XIX wieku i jego socjalistycznych spadkobiercach, dr. Wasiutyński dostrzega jednak pozytywny z ogólno-narodowego punktu widzenia wkład socjalistów do sprawy niepodległości, a to głównie przez ich udział w narodowym także uświadomieniu warstwy robotniczej. Stać Wasiutyńskiego na historyczny — z punktu widzenia historii — pogląd na Józefa Piłsudskiego i jego obóz, bez ulegania niedawnym nastrojom lub namiętnościom. Jest to pogląd o piłsudczyźnie jako formacji polskiej, z polskiego gruntu wyrosłej, a nawet bardzo — pomimo rzekomej rewolucyjności — zadłużonej wobec polskiej, niekonieczne politycznie uzasadnionej tradycji historycznej — a więc formacji w rezultacie anachronicznej, nie dającej się zharmonizować i dostosować do nieubłaganych wymagań polityki nowoczesnej. Za wielkiego nowoczesnego polskiego polityka, który w naszym okresie historycznym najlepiej rozumiał niezmienne, historyczne, interesy i zasady naszej polityki narodowej — uważa autor Romana Dmowskiego.

Recenzja nie może streszczać książki, a książkę Wasiutyńskiego tym trudniej byłoby streścić, iż autor dokazał nielada sztuki przedstawiając swój pogląd na historię Polski jasno i wyraźnie na 162 stronicach druku.

Opinia nasza jest, iż czytelnicy polscy na emigracji otrzymali dziełko dużej wartości intelektualnej i pisarskiej, posuwające znakomicie naprzód polityczną dyskusję nad najważniejszymi problemami naszych dziejów. Im bardziej dyskusja będzie rzeczowa i rozumowa, tym łatwiej problemy sporne mogą być w opinii politycznej narodu wyjaśnione i poglądy na nie ustalone i ujednolicone. Jeśli zaś niektóre rozbieżności mają pozostać ("Nie należy się takich różnic samych przez się obawiać — powiedział niedawno Prezydent Truman w orędziu do Kongresu Stanów Zjednoczonych — są one właściwe naszej formie rządu"), to niech będą one ściślej niż dotąd określone. Społeczeństwo naszego typu cywilizacyjnego nie może egzystować i rozwijać się bez różnicy zdań i dyskusji i nie różnice w poglądach są dla nas niebezpieczne, ale niewłaściwe metody ich wyjaśniania. Tylko jednak poważny proces przekonywania się nawzajem może zapewnić nam większą polityczną zwartość i oszczędzić nam wielu daremnych trudów i wysiłków.

M. E. ROJEK

UWAGI

SZANSE WOJNY I POKOJU

Dziennik londyński *News Chronicle* ogłosił dnia 6 stycznia r.b. wyniki ankiety, przeprowadzonej w Wielkiej Brytanii przez Instytut Gallupa w sprawie możliwości nowej wojny. Zadane pytanie brzmiało: "Czy Pan (Pani) sądzi, że nowa wojna światowa jest prawdopodobna w ciągu najbliższych lat dwudziestu pięciu?" 34% osób, biorących udział w ankiecie, odpowiedziało "tak", 37% — "nie", pozostałe 29% — "nie wiem". W porównaniu ze stanem rzeczy sprzed roku, to jest z początku 1946 r, odsetek osób, wierzących w nową wojnę, wzrósł — w owym bowiem czasie tylko 25% odpowiadających wyraziło pogląd, że Organizacja Narodów Zjednoczonych (której roli w tym zakresie dotyczyła ówczesna ankieta) nie będzie w stanie zapobiec nowej wojnie. Natomiast dwa lata temu, w styczniu 1945 r., kiedy wojna z Niemcami nie była jeszcze zakończona, poglądy publiczności brytyjskiej były odmienne: 45% wyraziło przypuszczenie, że po zakończeniu Drugiej Wojny Światowej dojdzie w ciągu 25 lat do nowej rozprawy zbrojnej (duża część odpowiadających podała znacznie krótsze terminy tej rozprawy).

News Chronicle podkreśla jako rzecz charakterystyczną, że w omawianej dziedzinie panuje w W. Brytanii większy "optymizm", niż w Stanach Zjednoczonych, gdzie pół roku temu w podobnej ankiecie Gallupa znaczna większość odpowiadających wyraziła pogląd, iż wojna w ciągu najbliższego ćwierćwiecza jest pewna. W Kanadzie odsetek tak myślących wynosił 44%, był więc mniejszy — ale w każdym razie wyższy niż w W. Brytanii.

Na zakończenie spotykamy interesujące porównanie obecnej ankiety z podobną, przeprowadzoną w czerwcu 1939 r. Pytanie Instytutu Gallupa, zadane Brytyjczykom, brzmiało wówczas: "Czy Pan (Pani) sądzi, że ryzyko wojny wzrosło czy zmalało od ostatniej jesieni (t.j. od kryzysu 'monachijskiego')?" Absolutna większość, bo 57% była zdania, że ryzyko to się zmniejszyło; na przeciwnym biegunie znalazło się 30%, a pozostałe 13% odpowiedziało — "nie wiem".

Było to na dwa miesiące przed wybuchem Drugiej Wojny Światowej — już po zajęciu Czech przez armie hitlerowskie i po gwarancjach brytyjskich udzielonych Polsce! Przypuszczenia większości odpowiadających okazały się więc zupełnie mylne. Nie należy tego kłaść na karb wadliwości ankiet, organizowanych przez Instytut Gallupa; instytut ten ma specjalną metodę doboru osób, do których zwraca się po odpowiedzi, uwzględniającą w odpowiednich proporcjach mężczyzn i kobiety, klasy wieku, zawody, a nawet położenie majątkowe odpowiadających i ich miejsce zamieszkania w różnych częściach kraju. Metoda ta zjednała mu spory rozgłos w krajach anglosaskich (od pewnego czasu Instytut Gallupa działa także na terenie Francji i Szwecji); wyniki przeprowadzonych ankiet uchodzą za wierne na ogół odbicie nastrojów i poglądów, panujących w danym momencie.

Grube omyłki w przewidywaniach publiczności położyć należy z jednej strony na karb jej braku orientacji w układzie sił i zachodzących przemianach międzynarodowych (przyczynia się do tego znacznie niesumienność prasy), z drugiej zaś strony omyłki te dowodzą, że w sprawach takich, jak wojna czy pokój, absolutna pewność sądów jest zwykle niemożliwa.

Taka sytuacja zachodzi również w chwili obecnej. Podział świata na dwa wielkie bloki, z których każdy rozporządza zdolnym i dynamicznym ośrodkiem dyspozycyjnym, wielkim potencjałem gospodarczo-militarnym i setkami milionów ludzi, przy równoczesnych ostrych różnicach ideowych i cywilizacyjnych, czyni konflikt zbrojny w bliskiej czy dalszej przyszłości bardzo prawdopodobnym. Wchodzą tu w grę prawa samej fizyki politycznej, prawa, które mówią, że duża masa państwowa, rządzona centralistycznie, ma już przez sam fakt swego istnienia tendencję do rozlewania się i rozprzestrzeniania — w danym zaś wypadku istniejące, niezwykle silne antagonizmy łącznie z sowieckimi ambicjami rewolucjonizowania świata wzmacniają jeszcze szanse zderzenia.

Stan napięcia uległ dużemu zaostrzeniu przez wchłonięcie przez Rosję całego międzymorza między Bałtykiem a Morzem Czarnym i Adriatykiem, zamieszkałego przez z górą 100 milionów ludzi, na co z kolei Anglosasi odpowiedzieli szeregiem doniosłych zarządzeń natury strategicznej na Bliskim i Dalekim Wschodzie, na Pacyfiku, a nawet na morzach

dalekiej Północy. Tocząca się rozgrywka o Niemcy — rozgrywka, wbrew pozorom dopiero rozpoczęta, — stanowi dalszy czynnik, napięcie to wzmacniający.

Szanse konfliktu wojennego zmniejszyłyby się natomiast znacznie, gdyby istniejący dziś podział świata uległ co najmniej złagodzeniu. Do tego zaś niezbędne są dwie rzeczy: najpierw, by obok dwu czy trzech dominujących dziś potęg świata istniały, także w Europie, i inne jeszcze samodzielne, a zainteresowane w utrzymaniu pokoju ośrodki siły politycznej i gospodarczej, choćby mniejszej — czego nie da się zrobić bez przywrócenia wolności Polsce i krajom sąsiednim, — następnie zaś by Rosja uległa daleko idącym przeobrażeniom wewnętrznym i zrezygnowała ze swych ambicji ekspansywnych i rewolucyjnych. Wówczas i imperializm amerykański straciłby w dużej mierze swą psychologiczną podstawę, choć Stany Zjednoczone zachowałyby niewątpliwie nadal swą dominującą pozycję gospodarczą.

Przemiany tego rodzaju byłyby błogosławieństwem dla wszystkich narodów, na razie się na nie jednak nie zanosi. Wielka "schizma" polityczna i cywilizacyjna, jak ją nazwał p. Churchill, dzieląca hermetycznie świat dzisiejszy, pogłębia się nadal mimo wszystkich, krótko- czy długo-falowych okresów dyplomatycznego "załagadzania". I dlatego Brytyjczycy czy Amerykanie w odpowiedziach swych na ankietę Gallupa błądzą zupełnie po omacku.

W DRUGĄ ROCZNICĘ

29 listopada roku ubiegłego minęły dwa lata od chwili powołania Rządu Rzeczypospolitej w Londynie, który przeciwstawił się stanowczo kapitulacyjnej polityce swego poprzednika. Dobrze się stało, że minister St. Sopicki w odczycie, wygłoszonym w grudniu roku ubiegłego, przypomniał zarówno przebieg przesilenia sprzed dwu lat, jak i spróbował scharakteryzować obecne położenie Polski na tle sytuacji międzynarodowej.

Trafnie odtworzył prelegent rolę, jaką odegrał rząd powołany przez Prezydenta R.P. w Londynie przed dwoma laty, stwierdzając, że niezłomna postawa legalnego rządu polskiego uchroniła Polskę od samobójczego wyrzekania się jej ziem wschodnich i nie dała narodowi naszemu narzucić rządu komunistycznego z zachowaniem pozorów legalności. "Polska — mówił słusznie min. Sopicki — tych pozorów legalności agentom Moskwy nie dała .... Legalny rząd polski na żadną współpracę i na żadne układy z Bierutem nie poszedł. To też dla każdego uczciwego człowieka będzie zawsze rzeczą jasną, że rząd warszawski, chociaż uznany — pod naciskiem Rosji — przez większość państw świata, nie jest kontynuatorem i dziedzicem legalnych rządów polskich. Będzie rzeczą jasną, że popełniono nadużycie, gwałt, oszustwo". Prelegent przypomniał, że "rząd polski okazał się jedynym rządem wygnańczym, który oparł się zdecydowanie wszelkim naciskom mocarstw" i śmiało odrzucił decyzje krymskie. "Jakikolwiek będzie — mówił min. Sopicki — ostateczny sąd historii o tym rządzie, te decyzje niewątpliwie zostaną zapisane na jego dobro". Z poglądami powyższymi zgadzamy się całkowicie.

Natomiast mamy zastrzeżenia, i to poważne, co do przedstawienia samego przebiegu przesilenia i tych sił, które z jednej strony zmusiły rząd Mikołajczyka do ustąpienia, z drugiej — były tym ośrodkiem politycznym, który umożliwił powołanie rządu, rozpoczynającego nowy okres polityki polskiej przed dwoma laty. W przedstawieniu przyczyn, jakie spowodowały przesilenie w końcu roku 1944, uderza jednostronność i cząstkowość opisu, jaki dał min. Sopicki. Zwrócił bowiem uwagę głównie na zewnętrzną stronę przesilenia (tę zresztą znał zapewne lepiej), a nie sięgnął głębiej, do istotnych sił politycznych, które wówczas decydowały. Siły te podjęły walkę na długo przed głosowaniem w Radzie Narodowej oraz przed konferencjami ówczesnego premiera Mikołajczyka z min. Popielem i prowadziły ją bez odchyleń z tymi wszystkimi posunięciami rządów sprzed listopada roku 1944, które doprowadziły prostą drogą do kapitulacji wobec Bieruta. Nieuwzględnienie procesów politycznych, które doprowadziły do przesilenia i które na nim przede wszystkim zaważyły, wykrzywia obraz rzeczywisty w oświetleniu min. Sopickiego.

Interesujący odczyt min. Sopickiego zyskałby na wyrazistości i dokładności, gdyby uwzględnił był stanowisko i akcję Stronnictwa Narodowego. Miała ona na pewno większy wpływ na zmianę kierunku oficjalnej polityki polskiej, niż kuluarowe narady ówczesnych ministrów, przerażonych wynikami swojej poprzedniej bierności wobec faktu, który świadomie czy nieświadomie przygotowali, a który graniczył już z rezygnacją z połowy blisko terytorium Państwa Polskiego, czyli ze zdradą.

ZASADNICZY KONFLIKT MORALNY

Skutki przestawiania kultury polskiej na system bolszewicki dają się zauważyć i w środowiskach krajowych, których założenie ideologiczne nakazuje bezwzględny opór przeciwko sowietyzacji zasad moralnych. To prawda, że naród jako całość trwa w rozpaczliwej walce z narzucaną przez Moskwę "demokratyczną kulturą". Powszechne jest zrozumienie prawdziwych celów bolszewickiego pochodu — pochodu armii, policji, polityki i doktryny. Nikt w pełni świadomości nie podejmie się obrony marksizmu, reprezentowanego przez NKWD czy PPR, jako alianta chrześcijańskiego, a zwłaszcza katolickiego systemu życia. Nikt rozsądny nie może mieć złudzeń co do właściwych i ostatecznych zamierzeń komunizmu wobec Kościoła Katolickiego. Kościół sam wyraził swoje stanowisko w sposób stanowczy i wyczerpujący. Dla tych, którzy myślą kategoriami ostatnich wydarzeń, wystarczy przypomnieć ostatnią demonstrację katolicką w Rzymie, gdzie wobec tysięcznych tłumów Papież Pius XII rzucił wyzwanie: "Z Chrystusem — czy przeciw Chrystusowi? — "

Obojętne, co mieliby na swoje tłumaczenie zwolennicy t. zw. "konwiwencji" (współżycia, lub z grecka "symbiozy") z reżimem agentów warszawskich, mieniących się "rządem" i organizujących "państwo polskie"; to już kwestia doboru argumentów, wśród których najłatwiejsze i najbardziej zrozumiałe byłyby: twarda rzeczywistość okupacyjna, wyniszczenie, zmęczenie i t.p.

Z chwilą jednak, kiedy w dziedzinie systemu filozoficznego, w dziedzinie etyki i religii szuka się dróg stycznych, gdy w imię doraźnych niebezpieczeństw, stawianych przed oczy przez reżim, uprawia się konwiwencję zasad — trzeba z zawstydzeniem i ze smutkiem stwierdzić penetrację sowiecką w najsilniejsze pozycje obronne narodu.

Są oto w Polsce okupowanej grupki, mieniące się "katolickimi", które na łamach prasy uprawiają niebezpieczną gimnastykę pojęć. Jedyna pociecha, że rezonans tych łamańców filozoficznych ogranicza się do nielicznego grona czytelników. Inaczej trzeba by zaiste z trwogą patrzeć w przyszłość.

Jedną (może zresztą jedyną) taką grupą jest grono młodych katolików, skupione wokół tygodnika *Dziś i Jutro*. Wszystko, co wiemy o założycielach i działaczach tej grupy, — da się streścić w określeniu ich tradycyjnej już "konwiwencji" i umiejętności przeskoków z jednej rzeczywistości w drugą. W 49-tym numerze (grudzień 1946) tego pisma znajdujemy artykuł redakcyjny p.t. "Katolik i obywatel", omawiający wypowiedź Bieruta o stosunku reżimu do katolików i katolicyzmu.

Prostacki ten manewr, obliczony na bardzo naiwnych w okresie poprzedzającym parodię wyborów,— został przez pismo wspomnianych "katolików" przyjęty za dobrą monetę. Oświadczenie trzeciorzędnego agenta Kominternu, złożone znanemu wagabundzie Prószyńskiemu,— *Dziś i Jutro* traktuje jako wstęp do dyskusji. Przyjmuje też pewne fakty, a więc zbrojny zamach na niepodległość Polski, i rządy obcej agentury nazywa "rewolucją" i "obozem lewicy".

Oto parę cytatów: "Zakończenie wojny, likwidacja struktury podziemnej nastawionej na walkę z hitleryzmem — dało w ostateczności pełne zwycięstwo polityczne obozowi lewicy".

Czytajmy dalej: "W swoim wywiadzie Prezydent KRN podkreśla pozytywnie fakt, że i w obozie lewicy nastąpiła ewolucja stosunku do religii. Potwierdzając z naszego punktu widzenia istnienie tej ewolucji, widzimy jednak potrzebę pogłębienia jej konsekwentnie, przez stwarzanie możliwie najwięcej punktów styku między konstruktywną pracą obu obozów".

I wreszcie: "W żadnym wypadku, przy jakimkolwiek rozpatrywaniu różnic czy sprzeczności ideologicznych, nie możemy nie uznać faktu, iż został przez najbardziej autorytatywny czynnik państwowy rzucony pomost dla wspólnego realizowania tych punktów stycznych, które w pracy dla państwa łączą wszystkich obywateli — katolików i marksistów".

Takie to fakty przyjmuje katolicki tygodnik *Dziś i Jutro* i takie wyciąga wnioski.

Dzieje się to w okresie nawałnicy propagandowej przeciw wszystkiemu, co z ducha katolickiego w Polsce wyrosło, w okresie ofensywy przeciwko każdemu przejawowi niepodległego myślenia — na kilka tygodni przed najbardziej ponurą komedią "wyborów", które porównać można tylko do "spontanicznego" plebiscytu na ziemiach wschodnich. Okupacja zbrojna nazywana jest zwycięstwem obozu lewicy. Słowem nieznaczne tylko przestawienie pojęć: przyjęcie kłamstwa za prawdę i zbrodni za fakt dokonany, którego już nie należy kwalifikować moralnie. Dostojewszczyzna przeniesiona na grunt polski — i to za pośrednictwem "katolickiego tygodnika społecznego".

Wystąpienie to nosi zresztą znamiona akcji przemyślanej przez "obóz polskiej lewicy". W tym samym bowiem okresie, na kilka tygodni przedtem, organ bolszewickich intelektualistów w Polsce *Kuźnica* zamieszcza także "katolicki" artykuł, nadesłany przez p. Jerzego Zagórskiego, który właśnie wrócił z zagranicy i musiał widocznie złożyć należną porcję dobrej woli. P. Jerzy Zagórski nawołuje w swym artykule do konsolidacji wysiłków katolików i marksistów dla walki z . . . nihilizmem. Redakcja *Kuźnicy* na ostatniej stronie tego samego numeru wyjaśniła, że nihilizm to — Mikołajczyk i PSL.

Takie to są dyskusje filozoficzne.

Na sprawę tę zwracamy uwagę jako na typową bolszewicką metodę rozkładania przeciwnika w jego własnym środowisku.

"REAKCYJNA" MŁODZIEŻ AKADEMICKA

Pisaliśmy już na tym miejscu o atakach prasy reżimowej na niepoprawnie "reakcyjną" młodzież akademicką dzisiejszej Polski. Terenem nowego ataku tego rodzaju stał się niedawny, pierwszy po wojnie zjazd uniwersyteckich Kół Polonistycznych, który odbył się w Krakowie w dniach 31 października do 3 listopada r. ub. Jak mianowicie podaje krakowskie *Odrodzenie* (w numerze z dnia 17 listopada) na zjeździe tym dyskusję na temat "oblicza współczesnej młodzieży" zagaiła p. Kulągowska z Łodzi, która "ostro skrytykowała postawę" tej młodzieży zarzucając jej m.i. "niechęć do równości klas" (!) i "brak jasnego światopoglądu". W czasie dyskusji jeden z przemawiających, Z. Gołąb (z uniwersytetu wrocławskiego) stwierdził, iż wśród studentów istnieją dwa obozy: katolicy i marksiści.

Z dalszego ciągu artykułu *Odrodzenia* dowiadujemy się, jak wyglądała sytuacja na samym zjeździe polonistów. Stanowisko marksistowskie — oczywiście w komunistycznej interpretacji tego pojęcia — zajmowali delegaci Łodzi, natomiast wypowiedzi przedstawicieli wszystkich innych środowisk akademickich, reprezentowanych na zjeździe, mianowicie Krakowa, Warszawy, Wrocławia, Torunia i Lublina "broniły postawy katolickiej".

Jeden to jeszcze dowód, jak oporna jest psychika polska wobec prób infekcji doktryn materialistycznych. Skąd inąd zresztą wiadomo, że nawet młodzież świeżo założonego uniwersytetu łódzkiego — który reżim chciałby uważać za twierdzę swych wpływów — nie jest wcale tak "błagonadiożna", jakby wynikało z wysłania przez tamtejsze Koło Polonistów komunistycznych delegatów na zjazd krakowski.

Ze wspomnianego artykułu *Odrodzenia* dowiadujemy się jednak równocześnie, że i na zjeździe polonistów uwydatnił się flirt niektórych "postępowych" katolików z Krakowa z marksistami. O zagadnieniu tym piszemy obszerniej w uwadze poprzedniej. Tutaj wypada nam wyrazić nadzieję, że zdrowy instynkt młodzieży polskiej uchroni ją przed niebezpiecznymi kompromisami, wkraczającymi, mimo wszystkich zaprzeczeń, także w dziedzinę ideową. Wszelkie zamazywania linii demarkacyjnej w tej dziedzinie grożą niebezpieczeństwem śmiertelnym.

ROCZNICA ŚMIERCI ROMANA DMOWSKIEGO

W rocznicę śmierci ś.p. Romana Dmowskiego, dnia 2 stycznia b.r. odbyło się nabożeństwo żałobne za duszę Wielkiego Zmarłego, zamówione przez Stronnictwo Narodowe. Msza św. żałobna odprawiona została o godzinie 10. w polskim kościele katolickim na Devonia Road. W związku z rocznicą śmierci Romana Dmowskiego w następnym numerze "Myśli Polskiej" ukaże się dłuższe wspomnienie, poświęcone jednemu ze szczególnie ważnych okresów Jego działalności. Uwagę czytelników zwracamy również na list p.t. "Wysiłek życia Dmowskiego", zamieszczony na str. 15 i 16 niniejszego zeszytu naszego pisma.

KULTURA I ŻYCIE

Bilans ubiegłego roku — Najlepsze filmy i sztuki — Zmarłe wielkości — Wśród rzeczy polskich

ROK 1946 nie był rokiem przełomowym w życiu kulturalnym Europy, choć niewątpliwie stanowił przejście od warunków wojennych do pokojowych, przynajmniej w krajach zachodnich. Kultura zaczęła się powoli wyzwalać z więzów propagandy, ale zrzucenia tych więzów domagała się przede wszystkim publiczność, konsumenci literatury, słuchacze radia, widzowie teatralni i kinowi.

Przemysł filmowy, najbardziej pobudliwy na żądania publiczności, przestawił swoją produkcję stosunkowo szybko, rzucając na rynek obrazy rozrywkowe: stereotypowe komedie bez prawdziwego humoru i utopijne dramaty bez zadrażniających konfliktów. Jedynie film brytyjski pozostał wierny swym ambicjom z lat wojennych, których owocem był głośny *Henryk V*, i zdobył się na wielkie dzieło ekranu, najlepsze chyba osiągnięcie filmowe 1946 r.: *Great Expectations*. Jest to wysoce inteligentna wersja filmowa powieści Dickensa, w której należy podziwiać zarówno subtelną grę aktorów, jak i świetną konstrukcję całości. Jeszcze raz udowodniono, że dobra literatura (w tym wypadku zręczna fabuła i typowo dickensowska technika w opracowaniu portretów ludzkich) jest bardziej przekonywająca w przeróbce filmowej, niż pośpieszne scenariusze, wykonywane na zamówienie, i niż rzekomo realistyczne reportaże typu amerykańskiego czy sowieckiego.

Z Francji zaczęły przychodzić filmy, wyprodukowane w ciągu okupacji, jak naprzykład *Les Visiteurs du Soir*, który powinien dać dyrektorom hollywoodzkim dużo do myślenia. Tak samo duński *Day of Wrath* (dzieło Carla Dreyera), ponura lecz bardzo poetycka intepretacja wieku zabobonu, udowodnił razem z meksykańskim *Portretem Marii*, że do wykonania naprawdę dobrych filmów niekoniecznie potrzeba wielkich kapitałów.

W roku ubiegłym miłośnicy X Muzy uprzytomnili sobie, że obiekt ich adoracji liczy już okrągłe pięćdziesiąt lat. *The New London Film Society* w serii udanych pokazów dało niejako skrót dziejów filmu w perspektywie półwiecza. Tak samo lipcowa wystawa, zorganizowana w Londynie przez *Daily Express*, ukazała zdobycze filmu w umiejętnie dobranych eksponatach.

* * *

Na przełomie 1945 i 1946 krytyka teatralna uznała sztukę religijną młodego poety angielskiego R. Duncana p.t. *This Way to the Tomb* za wysoce udany eksperyment i spowodowała gościnny występ angielskiej trupy w Paryżu. Razem z tą poetycką interpretacją kuszenia św. Antoniego weszła na scenę angielską mistyka: teatr pierwszy pojął pustkę reportażowej literatury i tęsknotę religijną w zmęczonym wojną świecie. Ze sztuk, równie oryginalnych i równie przekonywających swą oryginalnością, wspomnieć należy wznowienie napisanej podczas wojny groteski Amerykanina Thorntona Wildera *The Skin of Our Teeth* (z Vivien Leigh w roli głównej). Wilder rozumie grozę ludzkiego istnienia we współczesnej cywilizacji, ale zna również tajemnicę unikania ostatecznej katastrofy — choćby o włos.

Czołowy teatr stolicy Imperium, *The Old Vic Company*, nie zdobył się w roku ubiegłym na tak doskonałe produkcje, jak w latach poprzednich; tym niemniej *King Lear* (z Olivierem w roli głównej) zasługuje na pochwałę. Przeróbka sceniczna *Vanity Fair* Thackeray'a (w "Comedy") byłaby pewno dużym sukcesem londyńskim, gdyby została wystawiona na początku sezonu. Trzeba żywić nadzieję, że wróci ona jeszcze na scenę po zimowym zastoju.

Sądząc z prasy nowojorskiej, teatr amerykański nie przeżywa okresu świetności.

Polaków zainteresuje fakt, że sztuka Iwaszkiewicza o Szopenie (*Lato w Nohant*), wystawiona w Londynie podczas lata, spotkała się z surową oceną krytyki londyńskiej. Znając tę sztukę i pamiętając jej angielską wersję z teatru na Hammersmith, trudno — zaiste — polemizować z prasą londyńską a tym bardziej występować w obronie Iwaszkiewicza.

* * *

Rok 1946 był rokiem intensywnego eksportu teorii t. zw. egzystencjalizmu, która — choć formułowana we Francji już przed wojną, — dopiero po klęsce i okresie okupacji stała się atrakcyjna dla zmęczonych i zgnębionych mieszkańców starego Kontynentu. Z pisarzy francuskich, związanych z egzystencjalizmem, a odznaczających się przy tym dużym talentem, wymienić należy Jeana Paula Sartre'a, którego dramat *Huis Clos* (przełożony na angielski i grany w Londynie) był niewątpliwie wydarzeniem literackim. Sartre zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, tkwiącego w propagandzie kultury przez państwo. W swoim szkicu o nacjonalizacji literatury Sartre ironizuje na temat dzisiejszego utylitaryzmu, który zaleca literatom ratowanie prestiżu państwa, osłabionego ekonomicznie a przegranego politycznie, przez pisanie "na eksport".

Ta krytyka utylitaryzmu wypływa zapewne z silnego wśród egzystencjalistów poczucia wolności jednostki. Cokolwiek by się powiedziało przeciw egzystencjalizmowi, jedno w nim pozostanie poza zasięgiem zarzutów: szczery protest współczesnego człowieka przeciw dyktaturze państwa.

Żniwo śmierci było w ostatnim roku obfite. Największy z pisarzy niemieckich naszego półwiecza, Hauptmann umarł 6 czerwca (ur. 1862). Znaczenie autora "Tkaczy" i "Dzwonu zatopionego" w dziejach dramatu europejskiego jest niezaprzeczalnie wielkie, chociaż walory moralne jego działalności poza-teatralnej (w powieści) nie ważą wiele.

Śmierć wielkiego poety francuskiego Paul Valéry (u schyłku 1945 r.) zaciążyła nad rokiem 1946: Europa straciła intelekt nieprzeciętnej miary, umysł o rozległych horyzontach; zabrakło jej człowieka, który rozumiał, jak mało kto ze współczesnych, siłę i słabość naszej cywilizacji. W przedśmiertnym swoim dziele Valéry zajął się symptomatycznym dla naszej kultury motywem Fausta.

Utopijny pisarz angielski, wielbiciel postępu i prorok zdobyczy technicznych, Wells zmarł 13 sierpnia w wieku lat 80. W roku jego zgonu popularne wydawnictwo *Penguina* wypuściło na rynek przedruki powieści Wellsa w dużym nakładzie. Śmierć Wellsa zam-

knęła rozdział dziewiętnastowiecznej literatury angielskiej, rozdział złudy, naiwności ale i entuzjazmu dla nauki. Wells odszedł ze świata, porażonego widmem bomby atomowej: odejście to symboliczne.

Amerykańska pisarka eksperymentalna, która uprawiała swoisty kubizm literacki, Gertruda Stein, zmarła w Paryżu 26 lipca, przeżywszy lat 72. Do najgłośniejszych jej powieści należy *Autobiografia Alicji B. Toklas.*

W listopadzie ub. roku zmarł poeta angielski, W. J. Turner, ur. 1889.

Z wybitnych Polaków zmarł malarz Józef Mehoffer (8 lipca) w wieku lat 77.

* * *

Rok 1946 był rokiem Sienkiewicza. W stulecie urodzin autora *Quo Vadis* prasa polska (a także i angielska) przypomniała jego rolę w rozwoju powieści historycznej. Szkoda tylko, że rok ten nie ujrzał nareszcie krytycznego dzieła o twórczości polskiego laureata Nobla.

Bernard Shaw obchodził 90-tą rocznicę swoich urodzin. Stała się ona poniekąd manifestacją kulturalną. Wydawnictwo *Penguina* wydrukowało w ogromnym nakładzie dziesięć tomików jego dzieł. Inne firmy księgarskie ogłosiły specjalne studia o autorze *Pygmaliona.* Otwarto nawet osobną wystawę, poświęconą Shawowi. Radio brytyjskie: BBC często nadaje sztuki Shawa i zapowiada ostatnio festiwal najwybitniejszych jego utworów.

BBC wprowadziło inowację, organizującą t. zw. *Trzeci Program*, w którym nadaje audycje o nieprzeciętnej wartości intelektualnej. Dużo czasu poświęcono w tym programie dobrej poezji i krytyce literackiej.

* * *

Rok 1946 w życiu kulturalnym Emigracji polskiej nie zaznaczył się specjalnymi wydarzeniami. Wśród polskich intelektualistów widać objawy zmęczenia. Konieczność przestawienia się psychicznego, konieczność pracy długofalowej — bez obowiązku propagandowego aktualizowania literatury — nastręcza wielu Polakom poważne trudności. Publicystyka o charakterze mniej lub więcej utylitarnym paraliżuje ciągle jeszcze prawdziwą literaturę; zamiast dydaktyzmu i sentymentalizmu przydało by się u nas trochę więcej refleksji i kultu własnego rzemiosła; zamiast kabaretu warto by wreszcie zobaczyć teatr polski; zamiast setek felietonów i wspomnień — choćby kilka dobrych wierszy i nowel (bo powieść żyje przedrukami); zamiast panegiryków i przemilczeń — uczciwą krytykę.

Ale to są pobożne życzenia. Sumując polski rok 1946, wymieńmy jako niewątpliwe osiągnięcia: tom wierszy Mariana Czuchnowskiego *Pożegnanie jeńca* i antologię poezji Drugiego Korpusu p.t. *Przypływ.* Oraz prozę Marty Rudzkiej *Z domu niewoli.*

Z książek opublikowanych w Polsce wydarzeniem literackim jest zbiór opowiadań wychowanka "Kuźni Młodych", W. Żukrowskiego zatytułowany *Z kraju milczenia.* Literatura krajowa cierpi na przerost tematyki wojennej. Satyra w powieści obyczajowej ogranicza się — ze zrozumiałych powodów — do czasów przedwrześniowych, a nie dotyka rzeczywistości dzisiejszej. Reportaż wydaje się dominować wśród form wypowiedzi, w poezji — publicystyka.

Z najmłodszych ludzi pióra wyróżniają się; na Emigracji: Bogumił Andrzejewski, Jerzy Faczyński, B. Kobrzyński i T. Sułkowski; w Kraju: J. B. Ożóg i wspomniany już Żukrowski.

J. P.

Londyn, 5 stycznia 1947 r.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

Joseph Conrad. DENT'S COLLECTED EDITION. Wydanie zbiorowe dzieł Conrada. 3 tomy: "Youth", "Heart of Darkness" i "The End of the Tether", stron VIII i 344; "Lord Jim", stron X i 422; "The Mirror of the Sea" i "A Personal Record", stron XII i 194 oraz XXII i 144. — *London*, 1946. *J. M. Dent and Sons, Ltd.* Cena każdego tomu 6s.

W dziale "Kultura i Życie" zanotowaliśmy już podjęcie przez londyńską firmę Dent nowego zbiorowego wydania pism Conrada-Korzeniowskiego. Ma ono objąć ogółem 23 tomy; co kilka miesięcy ukazywać się będzie grupa, złożona z dwóch lub trzech tomów (w kolejności niechronologicznej). Trzy tomy, które pojawiły się obecnie, obejmują kilka spośród najlepszych rzeczy Conrada. Warto zanotować, że — jak to stwierdza bliski przyjaciel wielkiego pisarza, Richard Curle w książce swej *The Last Twelve Years of Joseph Conrad* — utworami, do których Conrad największe żywił przywiązanie, były: "Murzyn z załogi "Narcyza" i "Zwierciadło morza". Drugie z tych dzieł już się pojawiło, podobnie jak jedna z najlepszych powieści Conrada "Lord Jim", oraz trzy doskonałe nowele z pierwszego okresu jego twórczości: "Młodość", "Jądro ciemności" i "U kresu sił".

Nowe wydanie Denta powitać trzeba z radością, tym bardziej, że jego szata zewnętrzna jest bardzo estetyczna, cena zaś, jak na obecne stosunki, niewysoka. Zalety te niewątpliwie przyczyniły się do tego, że pierwszy nakład już został prawie wyczerpany.

Ukazanie się tych tomów dało kilku krytykom literackim asumpt do skreślenia interesujących uwag o twórczości Conrada. Pierwszy odezwał się na łamach tygodnika *Time nad Tide* (z dn. 30 listopada r. ub.) wspomniany już wyżej Richard Curle. W dłuższym artykule charakteryzuje on po kolei każdy z nowo wydanych utworów. Oto, co m.i. pisze o postaci "lorda" Jima: "... Choć, jak to podkreślano, Jim w nieprzejednanej, z rozmyślań zrodzonej subtelności swych reakcji jest raczej Polakiem niż Anglikiem, to przecież mało jest postaci w literaturze, dla których byśmy odczuwali współczucie (*sympathy*) bardziej bolesne, choćby nawet było, niekiedy, zdecydowanie pełne irytacji (*exasperating*)".

Curle stwierdza dalej, że nowe pokolenie brytyjskie mało jest obeznane z dziełami Conrada, wyraża jednak nadzieję, że nadchodzi czas, w którym ten pisarz, "jeden z największych", doczeka się znów licznych rzesz czytelników. "Tak być powinno — stwierdza Curle — : mistrzostwo techniki pisarskiej Conrada nie jest bardziej zadziwiające niż jego siła ewokacji — to też, kiedy opowiada historię, która czytelnika ujarzmia, stwarza równocześnie atmosferę i poczucie czegoś nieuniknionego, co podnosi jego fikcję literacką do poziomu epickiego. Zarazem jest on wspaniałym psychologiem, wspaniałym ujawniaczem "tajemnicy serc".

I dalej:

"Świat, który Conradowi był znany, przeminął, ale jego książki się nie starzeją, ponieważ przedmioty jego twórczości są ponadczasowe i traktowane są w wielkim stylu ... Nic nie sprawiało mu większej przykrości, niż gdy go nazywano "powieściopisarzem morza" ... tym, czym był naprawdę zajęty, były istoty ludzkie ... Znałem blisko Conrada i przy bardzo wielu okazjach dyskutował on ze mną na temat swych dzieł. Nie zawsze było łatwo śledzić bieg jego myśli, w umyśle jego bowiem piętrzyły się pokłady jeden na drugim, ale z akcentu jego głosu można było przynajmniej uchwycić samą tonację jego myśli. Kiedy ponownie czytam jego książki, zdaje mi się, że znów słyszę ten głos, który znałem tak dobrze, a słysząc go na nowo oceniam magiczne wartości, jakimi nas obdarzył".

W podobnie entuzjastycznym tonie ujęta jest recenzja krytyka literackiego Edwarda Crankshaw, autora wydanego w r. 1936 dłuższego studium p.t. *Joseph Conrad. Some Aspects of the Art of the Novel.* W artykule swym pt. "Conrad i my wszyscy" (ogłoszonym przez *Sunday Times* z dnia 8 grudnia) pisze on:

"Zbyt długo pozwalaliśmy, by to słońce zaćmiewane było przez szeregi mechanicznych księżyców, lśniących fałszywym, odbitym światłem. Ignorowaliśmy tego najwspanialszego powieściopisarza, który mówił o nagości człowieka. Byliśmy zainteresowani nie w człowieku, ale w jego wynalazkach, zmierzających do uniknięcia zimna. Obecnie, w ciężkim poczuciu czczości wszystkich wynalazków, może obrócimy się ku zrozumieniu samego człowieka — a tym samym i ku Conradowi. Bowiem w czasie, kiedy najbardziej postępowi myśliciele wierzyli, że odpowiedzią na zagadkę wszechświata jest mnożenie wygód materialnych, Conrad inne żywił idee. Oddalając rozmyślnie swych bohaterów spod opieki społeczeństwa i jego materialnych udogodnień, ukazywał ich nagich i samotnych pod ciężarem nieskończoności — bądź jako wyrzutków we wrogim wszechświecie, bądź jako zwykłych marynarzy, rzucanych w chaos Drugiego Dnia, bądź jako pozornie zwykłych obywateli, poruszających się wśród swych współtowarzyszy, ale oddzielonych od nich przez znamię przeznaczenia ... Wielki zarzut, jaki przeciw niemu podnoszono: oddalenie od aktualnej rzeczywistości, nie odpowiada już prawdzie. Zarzut ten nie był prawdziwy nigdy; mógł się nam tylko takim wydawać".

W recenzji znanego tygodnika katolickiego *Catholic Herald* (patrz numer z dnia 27 grudnia) podpisanej inicjałami W.J.I., czytamy:

"Powiedziano o tym Polaku, który stał się klasykiem angielskim i którego sława rosnąć będzie z biegiem lat, że stworzył on własny świat, fantastyczny i tajemniczy. Tajemnica ta — nawet jeśli tego był nieświadom — spoczywała w jego katolickiej wizji ... Conrad był polski i europejski — i jego wizja, przetopiona na kształt angielski, jest może rzeczą najbardziej katolicką w po-reformacyjnej literaturze angielskiej".

Inny, bardziej analityczny — choć niezawsze trafny — charakter mają uwagi V. S. Prichetta, wygłoszone w *Eastern Service* B.B.C. i opublikowane następnie p.t. "Egzotyczny powieściopisarz angielski" w tygodniowym organie B.B.C. *The Listener* (z dnia 10 października 1946). Prichett wyraża pogląd, że źródło "romantycznego pesymizmu" Conrada leży w tragedii jego polskiej ojczyzny. By się utwierdzić w tym pesymizmie Conrad — zdaniem Prichetta — opiera się o dwie wartości. Jedną z nich jest występujące u marynarzy poczucie powołania ich zawodu, respekt, jaki mają dla twardości, dyscypliny i reguł tego zawodu. Drugą wartością jest poczucie honoru czy lojalności, które dla Conrada wyraża się najlepiej w idei dżentelmena.

"Dla uszu angielskich — pisze Prichett — conradowskie pojęcia honoru i dżentelmena są egzotyczne — a przynajmniej doprowadzone są one do takiego poetyckiego wyrafinowania, jakie jest nam obce. Rodzaj dżentelmena, o którym Conrad myślał, bliższy był ludziom z epoki elżbietańskiej niż współczesnemu mu Anglikowi. I tu zachodzi ważny punkt

historii literatury. Począwszy od lat osiemdziesiątych czołowi powieściopisarze angielscy, bez żadnego wyjątku, atakowali ideę dżentelmena, — atakowali ją tak gruntownie, że obecnie wśród ważniejszych typów społecznych dżentelmen już nie istnieje. Tylko Amerykanin Henry James oraz Polak Conrad poszli w przeciwnym kierunku: pisali o dżentelmenie i jego poczuciu honoru, jakby to były rzeczy najważniejsze i najtrwalsze".

Ciekawi jesteśmy, czy ten pogląd Prichetta podzielany jest przez innych badaczy typów psychicznych współczesnego społeczeństwa brytyjskiego.

W dalszym ciągu przemówienia Prichett rozwija m.i. swą tezę, wedle której conradowskie pojęcie Przeznaczenia jest "zatrute" przez gniotącą autora świadomość losu Polski. Jest ono właściwie "poczuciem historii, któremu cierpiąca wyobraźnia polska nadała cechy teatralne". "Conrad, jak się zdaje, przeniósł gorzką atmosferę polskich walk narodowych — w których własna jego rodzina uległa prześladowaniom — na wyspy malajskie. Na Malajach Conrad znalazł lud, w pewnym stopniu podobny do jego własnego narodu, który został pokonany".

Z uwagami powyższymi trudno się zgodzić. Najlepszą na nie odpowiedź stanowią przytoczone wyżej, głębokie sformułowania Crankshawa. Przeżycia narodu polskiego były niewątpliwie jednym z ważnych czynników, które otworzyły Conradowi oczy na tragiczne aspekty ludzkiego losu w ogóle, traktowanie jednak tego czynnika wyłącznie jako psychicznego urazu — i to urazu, jak wynika z niektórych uwag Prichetta, szkodliwego — jest chyba co najmniej nie na czasie w obecnym okresie dziejowym. Czyżby najbardziej nawet pesymistyczne elementy twórczości Conrada nie zostały przewyższone przez dzisiejszą, straszliwą rzeczywistość? Całe narody i cała ludzkość stoi dziś w obliczu alternatyw i rozstrzygnięć najwyższej moralnej miary, takich, jakie stawały przed samotnymi bohaterami powieści i opowiadań Conrada.

Na zakończenie jedna uwaga. Przed wojną mieliśmy niemal kompletne wydanie pism Conrada w języku polskim, w doskonałych tłumaczeniach wybitnych pisarzy polskich (wydawcą był Dom Książki Polskiej w Warszawie). Od chwili wybuchu wojny po dzień dzisiejszy ukazało się jedynie kilka przedruków niektórych mniejszych utworów Conrada w ich przedwojennych tłumaczeniach ("Smuga cienia"; "Falk", "Amy Foster" i "Jutro"; "Uśmiech szczęścia"; "Freya z siedmiu wysp"; "Plantator z Malaty".) Wszystkie wyszły w Rzymie w postaci niedużych broszur; o ile nam wiadomo, nie pojawiło się nic więcej — i to ani na emigracji, ani w kraju. Stanowi to chyba jedno z największych zaniedbań wydawniczych, jakie popełniliśmy w ciągu ostatnich siedmiu lat.

B.M.

UZUPEŁNIENIE

W tłumaczeniu noweli G. K. Chestertona "Trzech jeźdźców Apokalipsy", które ukazało się w poprzednim zeszycie *Myśli Polskiej*, w trzecim ustępie od końca (na str. 11) opuszczono przez przeoczenie jedno zdanie, co zresztą nie wpłynęło na sam tok opowiadania.

Trzy ostatnie zdania wspomnianego ustępu winny mianowicie, zgodnie z oryginałem, mieć brzmienie następujące:

Głosem donośniejszym od trąbki kazał Hocheimerowi zatrzymać się i zawrócić. I von Hocheimer usłuchał. Ściągnął koniowi cugle, stanął i obrócił się na siodle. Ale ręka jego trzymała karabin zniżony jak pistolet i z broni tej strzelił chłopcu między oczy.

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy).

WYSIŁEK ŻYCIA DMOWSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze,

Z gorącym uznaniem powitać trzeba inicjatywę dr. Zygmunta Nowakowskiego, wyrażoną w jego pięknym liście w ostatnim zeszycie *Myśli Polskiej*. Podkreślenie zbieżności idei i dążeń Wyspiańskiego i Dmowskiego — idei, które, jak p. Nowakowski stwierdza, były "kategorycznym wykładnikiem" ówczesnej chwili dziejowej, — jest szczególnie trafne. Temat ten doprawdy zasługuje na dokładniejsze opracowanie i należy mieć nadzieję, że się tego doczekamy w nie zanadto odległej przyszłości. Będzie to zarazem przyczynek do analizy i charakterystyki twórczości umysłowej Dmowskiego, która — jak dotąd — w znacznie mniejszym stopniu była przedmiotem badań i roztrząsań niż dzieła Wyspiańskiego.

W okresie, o którym Nowakowski pisze, wysiłek pisarski Dmowskiego koncentrował się w kierunku wytworzenia w skrzywionej przez lata niewoli psychice społeczeństwa polskiego właściwej postawy wobec zagadnień i twardych nieraz wymogów życia narodowego. Zarówno Dmowski jak Wyspiański widzieli historyczne niebezpieczeństwo tych skrzywień i urazów; byli świadomi, że konieczna jest bezwzględna, ostra operacja wychowawcza, jeśli naród polski odegrać ma rolę podmiotu, a nie tylko bezwolnego narzędzia w nadchodzącej burzy dziejowej. Dla bystrego od wczesnej młodości obserwatora przemian międzynarodowych Dmowskiego zbliżanie się tej burzy było z każdym rokiem coraz widoczniejsze, — Wyspiański wyczuwał to samo siłą swej poetyckiej wyobraźni, choć w mniej oczywiście konkretnych kształtach.

Obaj — jeden w swych *Myślach Nowoczesnego Polaka*, drugi w *Wyzwoleniu* — walczyli o przywrócenie czy wykształcenie w duszach Polaków tych form reakcji indywidualnych i zbiorowych, bez których naród nie może ani rozwinąć pełni swych możliwości twórczych, ani też utrzymać się w roli czynnego partnera społeczności narodów świata. Obaj tłumaczyli tym warstwom społeczeństwa polskiego, które pretendowały do roli kierowniczej, że życie narodu i państwa posiada konieczności, które nie dadzą się pogodzić ani z chorobliwym dziedzictwem "poezji grobów" i mesjanistycznym przewrażliwieniem, ani ze zbytnim zapatrzeniem się w pewne modne doktryny międzynarodowe, ani z jałową, snobistyczną *Schoengeisterei*, ani też z brakiem umiejętności porządnego myślenia i porządnej, zdyscyplinowanej pracy. Ludzi, którzy w ciągu długich lat niewoli nasiąkli niechęcią do wszelkich form przymusu, do urzędów, policji i sądów, do prowadzenia jakiejkolwiek praktycznej polityki, nie tylko Dmowski, ale i Wyspiański (w lapidarnych wersetach swego *Wyzwolenia*) pouczali, że Polska, jeśli chce być państwem, musi sama to wszystko posiadać,— zanim zaś to się stanie należy dążyć do odtworzenia w największym możliwie zakresie normalnych funkcji życia zbiorowego, łącznie z aktywną, przemyślaną polityką zagraniczną.

Tak właśnie praktycznie pojęty prymat interesu narodowego, płynący z umiłowania Polski jako społeczności pokoleń przeszłych, teraźniejszych i przyszłych, był treścią owego "egoizmu narodowego", o którym dr. Nowakowski pisze w swym liście, słusznie dodając, że był to egoizm "najpiękniejszego pokroju". Istotnie nie miał on nic wspólnego z nacjonalizmem typu pruskiego, czy zgoła hitlerowskiego. Nie dopuszczał Dmowski myśli, by polityka narodowa w jakimkolwiek zakresie wykraczać mogła poza normy i przykazania cywilizacji, w której Polska wyrosła i wychowała się od lat blisko tysiąca. Gwałcenie tych norm uważał zawsze za sprzeczne z prawdziwie pojętym interesem narodowym. Charakterystyczne pod tym względem stwierdzenia znajdujemy właśnie w *Myślach Nowoczesnego Polaka* — książce, która przez niektórych niesumiennych demagogów określana była jako rodzaj kompendium "zoologicznego nacjonalizmu". Dmowski powiada w niej m.i., że czuje szacunek nawet dla Niemca czy Moskala, który pracuje dla wielkości swej ojczyzny — pod warunkiem wszakże, by czynił to przy użyciu środków godziwych. Jak widzimy, zasada "cel uświęca środki" obca była zupełnie takiemu pojmowaniu idei narodowej.

Podobnie zresztą, rzecz prosta, "etatyzm" Dmowskiego i Wyspiańskiego nie miał nic wspólnego z treścią, jaką się potocznie temu słowu przypisuje. Etatyzm dzieł obu tych pisarzy — to po prostu głębokie przekonanie, że bez własnego państwa naród polski będzie zawsze upośledzonym i zacofanym kaleką, niezdolnym do pełnego rozwoju. ("Naród ma jedynie prawo być jako Państwo" — mówi Konrad w *Wyzwoleniu*). W tym zresztą właśnie znaczeniu p. Nowakowski używa słowa "etatyzm" w swym liście — dodając jeszcze trafnie, że Dmowski był wyznawcą, a nawet fanatykiem silnej, sprawnej władzy państwowej. Skąd inąd wiadomo, że autor *Myśli Nowoczesnego Polaka* przez całe swe życie był przeciwnikiem zbyt daleko idącej, ustawicznej ingerencji państwa w życie gospodarcze i zwolennikiem szerokiego zakresu własności i inicjatywy indywidualnej. Nie oznacza to wcale, by sympatyzował z wielkim kapitałem i pochodnymi formami społecznymi; przeciwnie, wpływ jego myśli sprawił w znacznym stopniu, że zasada upowszechnienia własności stała się jednym z głównych założeń programowych obozu narodowego.

Państwo-kolektyw, bez względu na swą fasadę ideową, stanowiło dla Dmowskiego istną zmorę — *a nightmare*, jakby powiedzieli Anglicy. Wbrew temu, co się niekiedy z pewnych stron sugeruje, jego ocena ustrojów totalistycznych, jakie wyrosły po Pierwszej Wojnie Światowej, była w przeważającej mierze negatywna. Potępiał ich samowolę prawną, niszczącą zbrodniczo i lekkomyślnie normy, wypracowane wysiłkiem i doświadczeniem tylu pokoleń, potępiał brak prawdziwej reprezentacji społeczeństwa, etatyzm i biurokratyzm gospodarczy, łamanie charakterów i popieranie różnego typu kanalii, byle "swoich", bałwochwalczy kult "wodzów", hypnotyzowanie mas potokami kłamliwej, wydętej propagandy w miejsce tworzenia istotnie trwałych wartości.

Ostrzegał Dmowski, by młodzi nie zapatrywali się we wzory faszystowskie, czy hitlerowskie, lecz budowali coś bardziej solidnego i zgodnego z duchem narodu.

Powróćmy jednak jeszcze na chwilę do okresu, który p. Nowakowski tak barwnie, choć szkicowo tylko, scharakteryzował. Wezwaniom, rzucanym przez Dmowskiego i jego przyjaciół ideowych z J. L. Popławskim na czele, by leczyć niedomagania i schorzenia organizmu narodowego, towarzyszyły czyny. Jednym z nich była wielka praca, dokonana przez młode wówczas Stronnictwo Demo-

kratyczno-Narodowe nad wciągnięciem do świadomego udziału w życiu zbiorowym narodu szerokich rzesz ludu wiejskiego — by zasypać raz na zawsze tragiczny przedział, którego wstrząsającą wizję dał znów Wyspiański w swym *Weselu*. Drugi wielki wysiłek, dokonany również w tym okresie przez obóz, który przybrał miano wszechpolskiego od nazwy swego głównego organu ideowego, zmierzał ku zatarciu podziałów, stworzonych przez rozbiory, i przywróceniu jedności myśli i działania narodowego. I ten cel został w znacznej mierze osiągnięty.

Wkrótce, bo już w parę lat później, nadszedł jednak czas, kiedy Dmowski uznał, że całą swą energię skoncentrować musi na zmobilizowanie szans, jakie sprawie polskiej dawał dojrzewający konflikt międzynarodowy. Staje się nieoficjalnym, ale także świetnym ministrem spraw zagranicznych nieistniejącego jeszcze państwa polskiego — i na stanowisku tym trwa z niesłabnącą energią aż do podpisania w imieniu odrodzonej Rzeczypospolitej Traktatu Wersalskiego.

Lata niepodległości stanowią trzeci, ostatni okres twórczości Dmowskiego, najmniej bodaj na zewnątrz znany mimo szeregu książek, które w tym czasie wydał. Myśl jego zajęta jest nadal obserwacją i analizą procesów i wydarzeń międzynarodowych — jej główny jednak wysiłekześrodkowuje się na dwu innych, wielkiej doniosłości dziedzinach. Pierwszą jest niezmiernie trudne w praktyce zagadnienie, w jaki sposób zapewnić rozstrzygający wpływ na życie Polski żywiołom naprawdę najbardziej moralnie wartościowym. To był właśnie jego elitaryzm — jakaż przepaść jednak dzieliła treść, jaką wkładał w to pojęcie, od pasorzytniczych "elit", które rozpanoszyły się tak bezceremonialnie w różnych krajach Europy i świata! Łączyły się z tym — i to był drugi główny przedmiot jego zainteresowań — głębokie studia i rozmyślania nad źródłami i wartościami naszej cywilizacji. Miało z tego wyróść ostatnie dzieło — dzieło o zakroju uniwersalistycznym —, które pragnął złożyć w darze narodowi. Choroba i nagły zgon nie pozwoliły mu go niestety wykończyć; wszystko, co zostało, to parę fragmentów, ogłoszonych w warszawskiej *Myśli Narodowej*, i trochę niewydanych do tej pory rękopisów. Odszedł wielki Polak i prawdziwy Europejczyk w chwili, gdy obecność jego myśli, zawsze śmiałej, zawsze przenikliwej i konstruktywnej, szczególnie była potrzebna.

Zechce mi Pan wybaczyć, Panie Redaktorze, jeśli wybiegłem nieco poza ramy, zakreślone przez list dr. Nowakowskiego, sprawił to jednak sam temat tak pasjonujący i tak pod wielu względami aktualny.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

B. PRZERADZKI

Londyn, dnia 30 grudnia 1946 r.

Przymierze naftowe

Jeśli wierzyć oświadczeniom, ogłaszanym raz po raz przez różnych specjalistów, upłynie jeszcze dużo czasu zanim energia atomowa znajdzie zastosowanie w produkcji przemysłowej i komunikacji. Dopóki to się nie stanie, podstawowym materiałem energetycznym pozostanie nafta. Przy olbrzymim zaś zmechanizowaniu nowoczesnej produkcji i transportu ilość posiadanych rezerw nafty bądź potencjalnych pól naftowych decydować będzie na długi jeszcze czas o sile mocarstw.

Na tle pogłębiających się konfliktów w polityce międzynarodowej duże znaczenie posiada ogłoszony w drugim dniu Bożego Narodzenia przez prezydenta Trumana układ amerykańsko-angielski, dotyczący eksploatacji złóż naftowych na Bliskim Wschodzie. Porozumienie to doszło do skutku po wielu, prawie trzy lata trwających wahaniach, zarówno w łonie samego rządu amerykańskiego jak i dwóch potężnych koncernów naftowych amerykańskich, *Standard Oil Company* oraz *Sacony-Vacuum Oil Company*. Oba te przedsiębiorstwa o charakterze monopolistycznym dysponowały dotąd pewną częścią akcji przemysłu naftowego w Iraku, poza tym jednak nie posiadały większych interesów naftowych na Bliskim Wschodzie.

Na podstawie ogłoszonych w Waszyngtonie układów wyżej wspomniane koncerny amerykańskie zobowiązały się nabyć znaczne ilości ropy naftowej od Angielsko-Perskiej Spółki na przestrzeni najbliższych dwudziestu lat oraz uczestniczyć w sfinansowaniu rur naftowych łączących zagłębie południowo-perskie z Morzem Śródziemnym. Co ważniejsze jednak, w wyniku ogłoszonych układów przemysł naftowy amerykański nabył znaczną część koncesji naftowych rządu amerykańskiego w południowej Arabii, po przeciwległej stronie Zatoki Perskiej. Te ostatnie złoża szacowane są jako najbogatsze na całym Bliskim Wschodzie, a niedawno rozpoczęta produkcja doszła już w ciągu zeszłego roku do olbrzymiej cyfry 8.000.000 ton. Również dla zagłębia naftowego południowo-arabskiego Amerykanie planują wybudowanie połączenia rurowego z Morzem Śródziemnym.

Zaangażowanie się Ameryki w przemyśle naftowym Bliskiego Wschodu oznacza przesunięcie punktu ciężkości światowej produkcji nafty w ogóle. Od samego początku swego istnienia produkcja naftowa skoncentrowana była niemal w 78% na zachodniej półkuli. Pola jednak amerykańskie szybko się wyczerpują wobec stale wzrastającego spożycia nafty i jej wtórnych produktów. Oblicza się, że w ciągu 10 lat produkcja obu Ameryk wystarczy zaledwie na pokrycie ich własnych potrzeb. Natomiast na Bliskim Wschodzie, na który dotąd wypadało 4 procent światowej produkcji nafty, znajduje się 42 procent zbadanych złóż naftowych świata.

Poniższe zestawienie zbadanych pokładów nafty na świecie oraz szacunek możliwych dalszych odkryć daje może najpełniejszy obraz światowej sytuacji w tej dziedzinie (w milionach ton) :—

	Zbadane złoża	*Szacunek przyszłych odkryć*
Związek Sowiecki	350	6.000
Stany Zjednoczone	1.250	3.000
Bliski Wschód	1.500	9.000

Z zestawienia powyższego wynika, że Bliski Wschód posiada zbadanych i potencjonalnych złóż naftowych tyle, co Ameryka i Rosja razem wzięte.

Równolegle z zainteresowaniem się Ameryki eksploatacją nafty idą oczywiście polityczne i strategiczne interesy amerykańskie. Utrzymywanie stałej eskadry floty amerykańskiej na Morzu Śródziemnym, nieustępliwe stanowisko Waszyngtonu w sprawie Cieśnin tureckich były do niedawna widomymi znakami interesów amerykańskich w tej części świata. Niedawny stanowczy krok rządu perskiego w stosunku do niezależnego "demokratycznego" reżimu azerbejdżańskiego wiąże się zapewne ściśle z równie stanowczym poparciem, jakiego Ameryka udzieliła Persji. Zapewne też prawdopodobne są wiadomości kolportowane od dłuższego czasu przez prasę sowiecką o szybko powstających wielkich bazach amerykańskich, lotniczych i morskich, obejmujących cały Bliski Wschód.

Zgodnie z komentarzem jednego z pism londyńskich wkroczenie tak silne Ameryki na Bliski Wschód oznacza niewątpliwie wzmocnienie pozycji Wielkiej Brytanii na tym obszarze. Oznacza ono również zahamowanie infiltracji sowieckiej w kierunku Zatoki Perskiej. W ten sposób więc przymierze naftowe amerykańsko-angielskie stanowi niezmiernie ważne zdarzenie w sytuacji międzynarodowej nie tylko na dziś, ale i na jutro.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani E. J. J., Londyn. P. Jerzy Pietrkiewicz prosi Panią o przesłanie do Redakcji nazwiska i adresu — celem udzielenia odpowiedzi.

Treść *Nr.* 106 (*Rok* VII, *Nr.* 1) " **Myśli Polskiej** " :

"MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.

Redakcja i Administracja :

8 Alma Terrace, Allen Street, London, W.8. Tel. WEStern 1797.

Prenumerata półroczna (6 numerów) 12s. lub $4.

Prenumerata roczna (12 numerów) — £1. 4s. 0d. lub $8.